MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 35. WARSZAWA, 31 SIERPNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

PANEUROPA I „TRZY B"

WSPÓŁCZESNE przesilenie światowe jest, w swej gospodarczej istocie, tem samem, które spowodowało wielką wojnę. Przechodzi tylko jedną ze swych dalszych faz rozwojowych. Już *anno* 1914 ujawniła się przewaga produkcji wielko-przemysłowej nad pojemnością światowego rynku. Już wtedy widoczne było, że ratunek doraźny uzyskać można jedynie przez rozszerzenie tej pojemności drogą rozwoju gospodarczego krajów ekonomicznie zacofanych.

Dla Niemiec stało się wtedy jasne jeszcze i to, że swej niezmiernie szybko wzrastającej ludności, na swojem dotychczasowem terytorjum, nie zdołają zapewnić utrzymania, ściągając dla niej żywność ze świata li tylko wzamian za swoje fabrykaty, coraz mniej temu światu potrzebne. Postanowiły tedy rozszerzyć swoje „miejsce pod słońcem" na wielki kompleks krajów, gospodarczo niedorozwiniętych, a rokujących, przy odpowiednich inwestycjach, wielką wydajność rolniczą i wszelką inną. Stąd zrodził się naprzód niemiecki *Drang* południowo-wschodni wzdłuż słynnej linji „trzech B" (Berlin-Bizancjum-Bagdad). Ten *Drang* przekształcił się następnie w konkretny plan zaborczy jeszcze rozleglejszy, bo obejmujący również całą Wielką Ukrainę, aż po Kaukaz. Wreszcie pod tym znakiem wszczęły Niemcy wielką wojnę.

Gdyby się ona im powiodła, to na nieszczęście wszystkich sąsiadów, a zwłaszcza Polski, przyniosłaby Niemcom hegemonję polityczną na obszarze całego Starego Świata. To niebezpieczeństwo wystarczyło, by zmobilizować przeciwko Niemcom nawet i Świat Nowy. Pozatem wszakże niemiecki plan imperjalistyczny zawierał w sobie możliwości wielkich zmian w zakresie rozwoju gospodarstwa światowego. Niemcy bowiem byliby ekonomicznie podnieśli ogromny szmat ziem wschodnich, rozwijając ich zdolność konsumcyjną i obrót handlowy, na korzyść swoją przedewszystkiem, lecz zarazem wpływając niewątpliwie na dalszy rozwój całego światowego gospodarstwa.

Wielka wojna zdruzgotała ten plan niemiecki zarówno politycznie jak w dziedzinie gospodarczej. Politycznie wytworzyła porządek rzeczy, wręcz odwrotny do niemieckiego ideału „trzech B". Wszakże gospodarcze źródło dziejowego przesilenia, ową zabójczą dysharmonję pomiędzy przekwitem państw przemysłowych a zdolnością konsumcyjną państw rolnych, pozostawiła nietkniętą; tak wogóle, jak specjalnie na obszarze środkowego wschodu Europy.

W praktyce zmodyfikowała ją automatycznie o tyle, że zniszczenia wojenne na czas jakiś zahamowały tempo rozwojowe nadprodukcji. Gdyby świadomy czyn polityczny ludzki posiadał zdolność celowego organizowania biegu historji w jej głębokim nurcie przyczynowym, to zadaniem zwycięzców wielkiej wojny, obok politycznej przebudowy Europy, musiałaby się stać zapewne jakaś planowa akcja zastępcza, „wyręczająca" zdruzgotany niemiecki plan gospodarczy przez plan inny, z interesami państw zwycięskich bardziej zgodny. Ażeby do takiego zadania przy-

stąpić wbrew Niemcom, należało wszakże zorganizować dlań odpowiednie warunki bezpieczeństwa przed tlejącym zarzewiem niemieckiego odwetu.

Na przeszkodzie temu stanęły, między innemi także nowe, powojenne, siły dziejowe, jak rozterka francusko-włoska, francuska niechęć do wysiłku i walki, zatruty owoc radykalizmu i bezwyznaniowości, oraz wreszcie, pochodne z tych dwóch źródeł, omamienie pacyfistyczne opinji francuskiej. Pochodzi ono z obu tych źródeł, albowiem impulsem francuskiej polityki pacyfistycznej wobec Niemiec jest nietylko kult najmniejszego wysiłku, lecz w równej mierze chęć wygrania przyjaźni niemieckiej dla obrony francuskiego stanu posiadania przeciwko Włochom.

Stąd zrodziła się polityka otwarta, w Locarno w r. 1925, doprowadzona do paktu Younga i ewakuacji Nadrenji w r. 1930. Ta polityka, nietylko zresztą francuska, lecz jeszcze bardziej anglosaska, postawiła Niemcy na nogi przez kredyty amerykańskie oraz zwrot stanowiska na Renie. Przeto już od jej locarneńskiego punktu wyjścia, ze szczególną zaś siłą obecnie, Niemcy stanęły wpoprzek jej głównemu, ze strony aljantów, celowi. Obok lokalnej francuskiej rachuby w sporze z Włochami, takim najogólniejszym celem polityki pacyfistycznej było utorowanie przez nią drogi kapitałowi zachodniemu na wschód europejski, — metodą najmniejszego wysiłku. Lecz Niemcy w wielkiej wojnie zamierzały zdobyć dla siebie monopol tej ekspansji. Teraz więc, z kapitałami amerykańskiemi i Nadrenją w ręku, zabarykadowały dostęp ekonomiczny do wschodu, zablokowały go, utrzymując celowo w stanie politycznego ze swej strony zagrożenia. Powróciliśmy nieomal do punktu wyjścia z r. 1914. Niemcy usiłują, metodą finansowo-oblężniczą otworzyć przed sobą ponownie stary szlak „trzech B". Rozpoczęły od ataku flankowego na Polskę. Ewolucja dziejowa przybiera taką postać, jakby kryzys gospodarczy, pozostawiony bez rozstrzygnięcia przez wojnę pierwszą, zdolny był wywołać wojnę drugą.

Być może jednak, że on sam, w sposób organiczny, wyłoni jeszcze z siebie niezbędne antitoksyny. Jest on podstawową pośród tych żywiołowych sił, które w naszych oczach i naszemi rękoma kształtują proces historyczny. Druga z pośród nich, powojenna reakcja pacyfistycznego omamienia, roztrwoniła pięć bezcennych lat, poprzedzających rok 1930. Tymczasem wzmogło się bardzo zjawisko zasadnicze. Światowy kryzys gospodarczy utracił swój przedwojenny punkt ciężkości w Niemczech. Stał się rozlewny i szeroki, objął i przejął do szpiku wszystkie olbrzymy hyperindustrjalizmu. Nie zagraża im już tylko jak ongi, lecz począł je wyraźnie niszczyć. Nadprodukcja wystąpiła jaskrawo nietylko w dziedzinie przemysłu, lecz również zmechanizowanego rolnictwa. Od roku conajmniej kurczą się wyraźnie i silnie obroty handlu międzynarodowego Ameryki, Anglji, Francji, Niemiec: znak nadzwyczajnego przesycenia rynków, względnie osłabienia siły nabywczej. Kurczą się obroty, pomimo graniczącego z sensacją spadku wskaźników cen hurtowych w przodujących gospodarstwach narodowych. Nic nie pomogła ultra racjonalizacja produkcji. Zniżyła wprawdzie ceny, lecz jeszcze bardziej wzmogła bezrobocie (Ameryka — 4 miljony, Niemcy — $2^1/_2$ miljona, Anglja 2 miljony).

W takich okolicznościach poczynają występować na gospodarczym froncie świata wielkie reakcje odruchowe nowego typu. Dotąd obóz wielkoprzemysłowy, nie śmiąc eksportować kapitału na wschód od Niemiec z powodu niedostatecznie posuniętej „pacyfikacji", przyciskany zaś nadprodukcją i bezrobociem, robił wielką propagandę za wolnym handlem z państwami wschodniemi: propagandę płytką, spragnioną doraźnej jedynie ulgi, absurdalną, bo niezdolną do otwarcia rynków zachodnich dla kontreksportu rolnego ze wschodu. Skoro jednak ta propaganda nie dała żadnego wyniku, bo dać go nie mogła, a z eksportem kapitału, po ewakuacji Nadrenji też nic nie lepiej, tedy musiano zaradzić innym sposobem, bo nieposkromiony żywioł kryzysu nawet Ameryce począł już zalewać wodą uszy.

Jakoż tam właśnie wykonano pierwszy rezolutny zwrot. Nietylko dlatego, że go ułatwiała miejscowa tradycja protekcjonistyczna, lecz przedewszystkiem pod naciskiem tak dobitnych argumentów jak kurczenie się eksportu, spadek wskaźnika cen ze 160 (1913 = 100), przed kilku laty, na 125 obecnie, oraz perjodyczne, dwa razy do roku, monstrualne krachy giełdowe z siedmiomiljardowemi, w dolarach, stratami. Ameryka tedy zareagowała przeciw kryzysowi pierwsza (na mniejszą skalę uprzedziły ją niemieckie podwyżki ceł rolnych), przy pomocy nowej, niebywale protekcyjnej, taryfy celnej. Oznacza ona tendencję do silniejszego jeszcze, niż dotąd, rezerwowania własnego wewnętrznego rynku dla rodzimej produkcji i logicznie odpowiada faktowi kurczenia się eksportu. Tem nie mniej jest to dla tak potężnego aparatu wytwórczego, jakim rozporządzają Stany, krok niemal rozpaczliwy. Świat pozostały, zwłaszcza europejski, nie może nań nie odpowiedzieć kontrprotekcją ze swej strony. Przeto eksport amerykański, po wprowadzeniu nowych ceł, uledz musi jeszcze dalszej znacznej redukcji. Bardzo trudno jest zgóry określić, czy równoległe zahamowanie importu przyniesie wkońcu Ameryce jakieś saldo dodatnie.

Zaznaczyć tylko można, że ruch w kierunku obniżenia płac robotniczych (wobec spadku cen) nie rokuje wzrostu spożycia wewnętrznego.

W każdym razie zarządzenia amerykańskie są nader znamienne dla obecnej fazy rozwojowej światowego kryzysu gospodarczego. Idą one w kierunku chwilowej przynajmniej rezygnacji z rozwiązań międzynarodowych, na eksporcie kapitału i rozwoju obrotu zagranicznego opartych. Kryzys zaostrza się i nagli tak bardzo, pacyfistyczne zaś przygotowanie bezpiecznych dróg międzynarodowej ekspansji gospodarczej poniosło tak sromotne niepowodzenie, że nie pozostaje nic innego na razie, jak zamknąć do pewnego stopnia narodowe gospodarstwa same w sobie, wyodrębnić je z pośród powodzi światowej nadprodukcji i liczyć, że wytrzymają o własnych siłach. Ze strony Ameryki ten dośrodkowy krok rozpaczy nie jest zresztą odosobniony. Na arenie międzynarodowej odpowiada mu niemniej rozpaczliwa próba inwestowania na szerszą skalę w bolszewickiej Rosji. Oczywiście Amerykę, krachującą na giełdzie dwa razy na rok do wysokości 7 miljardów dolarów, stać na hazard kilkusetmiljonowy w Sowietach. Niemniej impreza ta nie jest dla kapitalistów amerykańskich zbyt bezpieczna, zwłaszcza od chwili, gdy zawiodły próby politycznego jej przygotowania ze współudziałem Polski.

Fala protekcjonizmu indywidualnego państw poszczególnych, jako ostatecznej dla nich deski ratunku, pchnięta przez Stany Zjednoczone, dobiegła już także Europy, najpierw Niemiec. Nie dla wszystkich gospodarstw narodowych jest ona jednakowo uciążliwa i niebezpieczna. Dla samowystarczalnej zasadniczo Ameryki — mniej, dla Anglji zaś i Niemiec, dla których eksport stanowi kwestję bytu — bardziej. Anglja tedy szuka ocalenia w projektach protekcjonizmu imperjalnego, t. j. pragnie wyłączyć obrót z dominjami z pod międzynarodowej klauzuli największego uprzywilejowania. Niemcy, dotąd wyrobiły sobie czynne saldo handlowe, głównie w obrocie europejskim, w stosunku $^1/_2$ miljarda marek rocznie, potrzebują go zaś na stałe w wysokości sięgającej 3 miljardów (dla pokrycia procentów i reparacyj). Wobec kurczenia się obrotu światowego, które już się dokonało, oraz dalszego oczekiwanego w następstwie inicjatywy amerykańskiej, niemieckie widoki stałego i wielkiego czynnego salda są nikłe. Tembardziej przeto ostrzą sobie Niemcy zęby przeciwko wschodowi. I z pewnością dlatego także spróbował je skusić p. min. Briand do swojej „Paneuropy".

Skoro się bowiem staje na gruncie przedewszystkiem mechanicznej obrony przed powodzią nadprodukcji, to można sobie tę obronę wyobrazić dwojako: w postaci barjer celnych indywidualnych i zbiorowych. Tę pierwszą drogę obrała Ameryka. Dla państw mniejszych lub mniej samowystarczalnych, bardziej wskazany byłby raczej protekcjonizm grupowy, bo wytwarza zarazem względnie szeroki rynek, *quasi* wewnętrzny. Tak postąpić pragnie Anglja ze swemi dominjami. Ukryta w paneuropejskim memorjale myśl p. Brianda zmierza do preferencyjnego wyodrębnienia miejscowego obrotu na całym kontynencie europejskim z pod klauzuli największego uprzywilejowania na rzecz Ameryki. Inaczej bowiem państwa europejskie mogłyby odpowiedzieć Ameryce podwyżką celną ze swej strony, każde na własną rękę, tylko o tyle, o ile podwyższałyby te cła równocześnie wzajem, wobec siebie w samej Europie.

P. Briand liczył, że pod groźbą ceł amerykańskich, Niemcy, potrzebujące czynnego bilansu handlowego i to głównie z europejskiego rynku, chętnie pójdą na tę kombinację. P. Briand bardzoby sobie życzył zapewnić Niemcom trwałe i dostatecznie czynne saldo handlowe, bo od tego zależy regularność i pewność wypłat reparacyjnych Younga.

P. Briand spodziewał się przytem, że Niemcy po ewakuacji Nadrenji okażą pewną pacyfistyczną wielkoduszność, przeto swej inicjatywie nadał wstępną postać projektu ogólnego współdziałania pomiędzy państwami europejskiemi. Próbował również przy tym ogniu upiec polityczną pieczeń przez osiągnięcie rezygnacji Niemiec z odwetu, tem samem zaś politycznego ich zbliżenia do Francji i Polski,—przeciwko Włochom. Celowi tak wysokiemu miała Polska torować drogę naprzód przez znany układ likwidacyjny i handlowy, nastepnie zaś jeszcze przez zatwierdzenie na dobro Niemiec genewskiej konwencji antireglamentacyjnej. W końcu, w publicystycznych *balons d'essai*, zostało ujawnione, że dla tegoż celu pewne czynniki francuskie uważałyby za możliwe i widziałyby chętnie coś w rodzaju polsko-niemieckiej „wymiany poglądów" na temat Pomorza.

Tutaj p. Briand przeciągnął strunę. Dopomogli mu w tem Niemcy swą odpowiedzią rewizjonistyczną na jego paneuropejski memorjał. Pomimo ceł amerykańskich Niemcy do „Paneuropy" tęsknią mniej gwałtownie, niźli przypuszczał p. Briand. Jeśli bowiem nie wyrobią dostatecznego czynnego salda handlowego to dowiodą tylko, czarno na białem, że stopa reparacyjna paktu Younga jest ponad ich siły. Dlatego, czują się w możności stawiać Francji odwetowe (przeciwko Polsce) warunki polityczne.

Polska w „Paneuropie" politycznej może być pozytywnie zainteresowana o tyle, o ileby ona dostarczyła jakiegoś nowego, choćby tylko papierowego zabezpieczenia, na rzecz wersalskich granic. W „Paneuropie" zaś ekonomicznej — o tyle, o ileby ona mogła ułatwić eksport polski, względnie dopływ obcego kapitału do kraju na godziwych warunkach. Jest bardzo mało widoków, ażeby, ze względu na agresywną wobec nas postawę Niemiec, dało się osiągnąć te korzyści w systemie paneuropejskim. STANISŁAW SZCZUTOWSKI

PROBLEM FLAMANDZKI W BELGJI

BAWIĄC niedawno w Belgji na kongresie szkolnictwa średniego, miałem sposobność bliższego zetknięcia się z rzeczywistością belgijską, tak flamandzką jak i walońską. Żadna książkowa dokumentacja nie zdoła nigdy zastąpić takich bezpośrednich spostrzeżeń i rozmów!

Kongres cały pomyślany był w dwu częściach, z których jedna, bynajmniej nie najmniej ważna, poświęconą została wycieczkom po Belgji, zorganizowanym jako istne *„leçons de choses“*. Po najbliższych okolicach Brukseli (Terweuren z wspaniałem muzeum Konga, Lacken, Schaerbeek) kolej przyszła na Namur i Dinant, Antwerpję, Gandawę, Liége i Bruges. Jak widać z samych nazwisk, równowaga została tu uważnie zachowana między Flandrją a Walonją, tem uważniej, że międzynarodowej wystawie kolonjalno-morskiej w Antwerpji odpowiadała międzynarodowa wystawa techniczno-przemysłowa w Liége.

Uważnemu widzowi problem flamandzko-waloński narzucał się wszędzie swoją obecnością.

Przypomnijmy jego ostrze. Flamandowie stanowią $^2/_3$ ludności kraju. Korzystając z tej liczby i z przywilejów powszechnego głosowania, przeprowadzili oni po wojnie całkowite równouprawnienie języka flamandzkiego, jako drugiego języka państwowego. Król i ministrowie przemawiają w obu językach, t. zn. orędzia królewskie i państwowe odczytywane są w dwu językach, co znakomicie przedłuża i komplikuje wszelkie uroczystości. Napisy są wszędzie dwujęzyczne z wyjątkiem zupełnie czystych powiatów flamandzkich gdzie niema napisów walońskich i zupełnie czystych powiatów walońskich, gdzie brak napisów flamandzkich. Szkolnictwo flamandzkie odbywa się całkowicie po flamandzku z nauką francuszczyzny jako osobowego przedmiotu. W większych ośrodkach znajdujemy paralelki językowe, n. p. w *Athénée* (gimnazjum) antwerpskiem wszystkie przedmioty, nie wyłączając przyrodniczych, nauczane są w dwu równoległych oddziałach klasowych, po flamandzku i po francusku. Wreszcie, przed paru laty, jeden z czterech uniwersytetów belgijskich, a jeden z dwu państwowych, uniwersytet w Gandawie został całkowicie sflamandyzowany; wyrugowanie języka francuskiego jako wykładowego Gandawa opłaciła utratą całkowitą studentów obcych, nierozumiejących języka flamandzkiego.

Jak widać z tych paru danych, hegemanja francuszczyzny w Belgji przestała istnieć tak dalece, że trudno już mówić o Belgji, jako kraju o języku francuskim, jak się to do niedawna czyniło. Jasne jest, że ludność walońska musiała to odczuć bardzo boleśnie, tem bardziej, że czuje się w mniejszości i nabiera wyraźnie mentalności ludzi, którzy są stale majoryzowani. Jest też rzeczą zupełnie naturalną, że pierwszym odruchem wszystkich przyjaciół romańszczyzny i francuszczyzny staje się, w takiem położeniu, sympatja pod adresem Walonów.

Rzecz w tem, że, po bliższem wejrzeniu w rzeczywistość belgijską. nie sposób tego pierwszego odruchu nie skorygować częściowo i nie zmodyfikować. Sytuacja nie jest tam tak prosta, okazuje się, by ją można było sprowadzić do prostego stosunku ilościowego.

Obserwującemu Flamandów uważnie, i nie tylko z okien wagonu i ławek *autocar*'u, rzuca się wprost w oczy rozpęd kultury i energji flamandzkiej, oraz płomienne, żarliwe umiłowanie tego nowego, co przyszłość ze sobą niesie. Pęd ten widać w szkolnictwie i w autonomji miejskiej, w języku i literaturze, w teatrze i sztuce. Może najgłębszem przemówieniem, jakie uczestnicy kongresu usłyszeli w Belgji, było pozornie czysto formalne przywitanie w ratuszu antwerpskim przez burmistrza Antwerpji, p. van Cawelart'a, znakomitego myśliciela katolickiego, duchowego wychowanka kardynała Merciera, byłego profesora filozofji w uniwersytecie Fryburskim. Ów filozof i myśliciel—patrjota, opuściwszy katedrę, stanął na czele największego miasta belgijskiego i portu w Europie. Dlaczego? dlatego pewno, że był głową narodowego ruchu flamandzkiego i — twórcą, bo czołowym bojownikiem flamandyzacji uniwersytetu w Gandawie. Przybywszy do wspaniałego ratusza w Antwerpji, musieli uczestnicy 22-języczni kongresu międzynarodowego wysłuchać dłuższej mowy van Cawelart'a w języku dla siebie niezrozumiałym! Mówca wiedział o tem i ani na chwilę się nie zawahał: ta mowa była czynem; że była równocześnie głęboko pomyślaną, dowiedzieliśmy się wnet z drugiej jej części, wygłoszonej przez mówcę w przepysznej francuźczyźnie...

Literatura flamandzka wyrąbuje sobie dziś swe miejsce obok holenderskiej, z którą się zlać nie chce mimo wspólnego podłoża językowego: wyrabia się powoli nowa mowa literacka, nowy wspólny język pewnej grupy narodowo-literackiej. Jest to zjawisko, mające za sobą zaledwo lat kilka dziesiątek. Rdzenni Flamandowie poprzedniego pokolenia, Verhaeren i Maeterlinck nie napisali w życiu jednego słowa nie — francuskiego: ich dzisiejsi następcy tworzą już tylko po flamandzku.

Ze słowem flamandzkiem zetknąłem się pewnego wieczora w Gandawie, gdy, z powodu obchodu stulecia niepodległości, w obecności hrabiego Flandrji, młodszego królewicza, odegrano na stopniach przepięknej, starej katedry, misterjum średniowieczne w nowem opracowaniu flandryjskiem o Elckerlijc'u, o K i m b ą d ź. Misterjum to obiegło niedawno sceny europejskie w niemieckiem opracowaniu Hofmannsthala (*„Jedermann“*).

I oto, gdy po tych wszystkich, bujnych, bogatych doświadczeniach flamandzkich, przyszło nam z kolei jechać do stolicy walońskiej, do Liége, pytaliśmy się siebie z pewnem zakłopotaniem: „cóż tam więcej znaleźć zdołamy?“

Odpowiedź zjawiła się szybko i samorzutnie: w Liége znaleźliśmy Francję! Było to jedno z najciekawszych moich przeżyć belgijskich. Niby to niezmienione nic, to samo państwo, brak granicy, a jednak zmienione wszystko: inni ludzie, inna werwa, inne tempo. Ba! co czulsi gastronomowie spostrzegli odrazu różnicę w *menu* i po raz pierwszy w Belgji dostaliśmy ser i likier po kawie! Dość,

że czuliśmy się wyraźnie we Francji. To była owa niespodzianka, zgotowana nam w Liége...

I oto teraz, całkując te spostrzeżenia, nie sposób nie zauważyć, że siła elementu flamandzkiego w dzisiejszej Belgji nie polega tylko na liczebnej przewadze. Oni jedni bodaj mają coś oryginalnego do powiedzenia, do wniesienia w kulturę europejską! Waloni są tak bardzo Francuzami z ducha, że mogą conajwyżej zdaleka nadążać za Paryżem; wszak co znakomitsi po francusku piszący belgijscy autorowie byli i tak Flamandami: Rodenbach, Verhaeren, Maeterlinck! Natomiast Flamandowie belgijscy nie mają najmniejszego zamiaru zidendyfikowania się z Holendrami, i dziarsko, pewnym, żywym krokiem budują swe nowe tory, szlakiem Van Eyck'ów, Memlingów i Rubensów!

To rozdwojenie indywidualne stanowi niewątpliwie dla państwa belgijskiego kłopot, ale nie stanowi niebezpieczeństwa.

Flamandów należy tu ostro odróżnić od garstki t. zw. *flamingant*'ów, krzykaczy anty-państwowych, separatystów, w czasie wojny przyjaciół Niemiec. Jest ich garstka. Flamandowie w swym głównym, ogromnym trzonie, czują się zdecydowanymi Belgami, przywiązanymi do wspólnoty belgijskiej, i do idei monarchicznej, do dynastji belgijskiej. Tu w Belgji, istotnie dynastja odgrywa doniosłą rolę narodową, narodowo-twórczą: ona to stapia i stopi w jeden kruszec państwowy owe dwa elementy rasowe.

U podstawy zdrowej współpracy tych dwu ras stoi jedno, niezastąpione: obie one chcą ze sobą współżyć, i nic z swej rasowości nie tracąc, tworzyć jeden organizm.

Ta wola przeszła już próbę krwi, czasu Wielkiej Wojny.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

BRANKA PRUSKA NA POMORZU POLSKIEM I NA ŚLĄSKU W R. 1813

PÓŁ wieku przed branką, jaką urządził Wielopolski w Królestwie Kongresowem, odbyła się branka pruska, równie bezwzględna i tyrańska. Podczas gdy branka r. 1862 wywołała burzę przekleństw, to niewiadomo czemu historjografja nasza zapomniała o ofiarach tej branki Kaszubskiej, choć przypominali o niej niejednokrotnie historycy pruscy, francuscy i znów w ostatnich miesiącach wydobywa ją z kurzu zapomnienia, gorący nasz przyjaciel, członek Instytutu paryskiego, a może i naszej Akademji.

Rzecz jest tem ciekawsza, że dotyczy nastroju ludności na naszem Pomorzu i to w czasie wojen Napoleońskich. Nie spotykając się z głosem krytyki polskiej, historycy pruscy nieraz pozwalali sobie bujać o tym nastroju do syta. I tak świeżo jeszcze dr. Laubert (w książce „*Der Kampf um die Weichsel*" 1928, str. 132 — 133) pisze: „Polski włościanin w Prusach zachodnich w roku 1807 szczególnie w domenach państwowych był... „*gut preussisch*", zwłaszcza, że nie istniała wówczas jeszcze solidarność między Polakami i Kaszubami, których pierwsi uważali za coś niższego („*als minderwertig)* i w czasie wkroczenia [1]) napoleońskich legjonów w r. 1906 z Poznańskiego srodze ich uciskali (*arg bedrückt).* To też kiedy jeden starzec kaszubski przypomniał w r. 1846 o tych wypadkach, wówczas zrobiło to takie wrażenie, że cała wyprawa, gotująca się pod wodzą młodego Józefa Puttkamera do ataku na załogę pruską w Starogardzie, poprostu się rozbiegła. Poczucie przynależności tego kraju do pruskiej monarchji (*die Empfindung für die Zugehörigket des Landes zur preussischen Monarchie*) było wówczas już tak silne, że nawet sam Napoleon nie uwzględnił życzeń polskich, aby przyłączyć te kraje do Księstwa Warszawskiego i tylko zadowolił się odłączeniem Gdańska, Torunia, Chełmna i południowej części ziemi nad Notecią, ale nie utworzył polskiego korytarza". Tyle dr. Laubert. Tymczasem wszystko, co opowiada ten historyk o przywiązaniu tego kraju do pruskiej monarchji, załamuje się pod wrażeniem raportów o przebiegu poboru rekruta na polskiem Pomorzu w r. 1813, jakie wydał po raz pierwszy w latach 1845—1858 sam sztab pruski [2]). Uczeni sztabowcy podali tu dokładne wiadomości o nastroju ludności z okolic Tczewa, Starogardu, Chojnic, Wałcza, Bytowia, a także i Śląska i zaopatrywali to wszystko uwagą, która zupełnie zaprzecza owej Laubertowej „*Empfindung für die Zugehörigkeit des Landes zur preussischen Monarchie*" i stwierdza przeciwnie, że na ziemi Kaszubów „niechęć do wszystkiego, coby tchnęło germanizacją, opór przeciw zarządzeniom rządu pruskiego, nienawiść względem pruskich urzędników, to były uczucia, które się tu pojawiały w tysiące sposobów przy wyraźnem dążeniu do Polski zjednoczonej i niepodległej i to za pomocą wielkich wysiłków ku temu zmierzających i śród najżywszej sympatji dla Napoleona..."

Historjografja nasza, jakby nie zauważyła tego kapitalnego wydawnictwa sztabu pruskiego i dopiero przypomniał je w r. 1898 historyk francuski G. Cavaignac w dziele swem „*La formation de la Prusse contemporaine*" (I i II str. 459, 460), przytaczając świadectwo, że „*niedere Bevölkerung*" było usposobione wcale nie, jak chce Laubert, „*gut preussisch*" ale przeciwnie „*gut französisch*". Dopiero w ostatnich miesiącach w całej rozciąg-

[1]) Tymczasem o życzliwem przyjęciu przez włościan w okolicy Tczewa, Gniewu podaje w swych pamiętnikach Chłapowski str. 12, 17.

[2]) „*Zur Geschichte des Jahres 1813. Organisation des Landwehr in Schlesien (Militärwochenblatt, Beiheft*, 2. *Quartal. Mai — Juni 1845). Org. der Landw. in Ost. u. Westpreussen (Beiheft 1846)*", „*Org. der Landw. in Pommern u. Westpreussen (Beiheft 1858)*", „*Gesch, der Org. der Landw. in Pommern u. Westpreussen im J. 1813*, *Militärwochenblatt*, 3 *u.* 4 *Quartalschrift 1858.*

łości zwrócił uwagę na znaczenie tych raportów sztabowych prof. Sorbony, Emil Bourgeois [3]).

Wedle raportów oficerów sztabu generalnego pruskiego we wspomnianych powiatach Pomorza polskiego miał Berlin w r. 1813 „do czynienia z krajem zasadniczo różnym od innych części państwa pruskiego, albowiem więcej niż połowa mieszkańców nie jest niemiecką. Większość miasteczek i wsi zamieszkiwali wyłącznie Polacy. Mowa polska tu dominowała szczególnie w okolicy Tczewa, Starogardu, Chojnic i Kamienia, w Wałczu przeważał język niemiecki. I to nietylko chłopi, ale i przeważna część wielkiej własności była w tej okolicy narodowości polskiej“. „Obok języka ta część narodowości zachowała także właściwości charakteru polskiego, a przedewszystkiem przeniknięta była dążeniem do Polski zjednoczonej i niepodległej“.

Wielu z właścicieli ziemskich właśnie w tym czasie było w porozumieniu z garnizonem francuskim w Gdańsku.

Gdy w kwietniu 1813 przystąpiły Komisje w tych 5 powiatach do poboru rekrutów przez losowanie, popisowi uciekli do Księstwa Warszawskiego i do francuskiego Gdańska, albo do lasów, a nawet sami wójtowie (jak w Chojnicach) ułożyli listy fałszywe, albo wogóle ich nie dostarczyli. „Nie można się spodziewać, — czytamy w tych raportach — aby ci Polacy zjawili się przy następnem wezwaniu. Nawet gdyby się wcieliło ich do szeregów i zaprzysięgło, to i tak czy to w czasie ćwiczeń, czy to w czasie pochodów wszyscy raczej uciekną z kompanji, niżby mieli pozostać z Niemcami. Trzeba się mieć na baczności i nie uzbrajać ich jak tylko pikami, gdyż mogliby się stać niebezpieczni“. „Ludzie z gminu w tych powiatach nie mają żadnego sentymentu patrjotycznego“ (względem Niemiec). Znów gdzieś się podziała owa Laubertowa *„Empfindung für die Zugehörigkeit...“* W Chojnicach radca sądu *(Justizrath)*, patrjota pruski Kunzel skarży się wyraźnie, że w jego powiecie Polacy „nie żywią uczucia wdzięczności, któreby im pozwoliło kiedyś zostać patrjotycznymi Prusakami“ i dlatego radzi tak on, jak i drugi sędzia z Kamienia, użyć pomocy rosyjskiego gubernatora z Bydgoszczy do przeprowadzenia przymusowej branki, zwłaszcza że ta ludność ma stosunki z Polakami z Księstwa Warszawskiego.

Dość dziwaczne to „wojny wyzwolenia“ *„Befreiungskriege“*, urządzane przy pomocy carskiej nahajki! Podobnież gubernator pruski generał [4]) Tanenien wysłał list do swego króla, w którym wyrażał obawy, aby przemocą zabrana młódź polska nie uciekła z bronią i nie użyła jej „przeciw W. Królew. Mości“ i dlatego radził dokonać branki przymusowej; mianowicie siłą zbrojną ją wyłapać, zaaresztować i zaprowadzić odrazu do więzienia do Kołobrzegu i Grudziądza, tam przymusowo wyćwiczyć w obrotach wojskowych, a następnie wcielić odrazu do wojska. W istocie król pruski ten pomysł zatwierdził 13 maja 1813 i komisja zebrana w sekrecie w Chojnicach naznaczyła na to termin (noc 19/20 maja). W przewidywaniu, że chłopi kaszubscy, kryjąc się po lasach przez tydzień, napewno w niedzielę wrócą do swych parafij, aby wysłuchać mszy i zebrać się po karczmach, zaczaili się żandarmi i landwerzyści niemieccy i ich przyłapali. W ten sposób w 2 powiatach przyłapano 100 Polaków, ale np. w Tczewie w obawie rozruchów poniechano tego rodzaju konskrypcyj. Z powiatu Kamieńskiego uciekło 1000. Gdy miano napędzić masę zaaresztowanych do Kołobrzegu, ci zbuntowali się i brygadjer żandarmerji Moltke kazał do nich strzelać: zabito część a resztę do Kołobrzegu zaprowadzono jak znędzniałych i poszarpanych jeńców. Ostatecznie przekonano się, że i użycie przemocy nie wydało zamierzonych środków, nastąpiły dezercje, nawet samobójstwa, nie świadczące wcale o owej Laubertowej *„Empfindung der Zugehörigkeit“*. Gdy 26 sierpnia 1813 podjęły Prusy wojnę przeciw Napoleonowi, szukać musiano dezerterów przy pomocy 2000 landwerzystów i kozaków. W październiku przekonano się, że z wspomianych okolic brakło $^1/_4$ *Landwehr*'y. Ale również i z okolic Lęborka i Bytowia uciekała lud w lasy lub ku granicom Księstwa Warszawskiego, za co bito rózgami, trzymano w areszcie o wodzie i chlebie.

Podobne polowania na rekrutów — „ochotników“ (!) urządzano na polskich włościan przy pomocy nadgranicznych kozaków i w drugiej krainie „mogił i krzyżów“ — na Śląsku i koło Pszczyny i Lublińca i Opola i Raciborza i Rybnika i Bytomia. I podobnież zamykano w twierdzy w Kładzku i Nisie, a wkońcu karano pierwszy raz za dezercję więzieniem i setką kijów, a drugi raz karą śmierci i konfiskatą ziemi.

Na ten antypruski nastrój włościan śląskich bardzo utyskiwał książe Anhalt-Pless (Pszczyna) podnosząc w swym liście (17 maja 1813), że tego rodzaju brak przywiązania Ślązaków do monarchji pruskiej jest znany już więcej niż od pół wieku: „I dlatego trzeba było już od 60 do 70 lat (za Fryderyka II) łapać chłopa w nocy, pakować jak dzikie zwierzęta do klatki, pędzić w więzach większość rekrutów, aby ich następnie wysyłać do pułków“. Ostatecznie i tu na Śląsku w r. 1813 brakło $^1/_3$ *Landwehr*'y... Bo jakby przeczuwali, że w bitwie narodów pod Lipskiem wypadłoby im przecież walczyć przeciw Ks. Józefowi Poniatowskiemu...

Tam pod Lipsk dał się jednak pociągnąć niemiecki Michel i dał się zwerbować składnie i posłusznie czy to w okolicy Berlina czy Królewca. Nie oddziałały na niego hasła wolności społecznej, które w spadku po rewolucji głosił wszystkim chłopom — Napoleon. Nie oddziałały i na Sasów, którzy go zdradzili. Tłumaczy się to wszystko tem, że równocześnie obok pragnienia wolności społecznej, zaświtało w masach i poczucie narodowe i dlatego to właśnie, gdy militaryzm pruski wywiesił hasło skupienia się do boju pod wodzą króla pruskiego, hasło to śród ludu kaszubskiego i śląskiego echa nie znalazło, bo ten poczuł się jednem ciałem z macierzą swą — Polską, urządzając w ten sposób niesfałszowany plebiscyt w obliczu całej Europy.

WACŁAW SOBIESKI

3) *„L'irredentisme polonais en 1813“, Revue bleue 3 mai 1930.*

4) Oczywiście inny był nastrój koło Królewca lub Szczecina, gdzie ruch niemiecko-powstańczy przeciw Napoleonowi udawał się. Niejednokrotnie od Szczecina urządzali Prusacy ataki na Francuzów, ale to nie może świadczyć o usposobieniu Pomorza polskiego. Porówn. Skałkowski, „O cześć imienia polskiego“ 1908, (str.148, 153): „Od Pomeranji, gdzie zdaje się, insurekcja (niemiecka) jest organizowaną“.

WIELKI ŁAD

KIEDY przed dwoma miesiącami dzienniki doniosły o śmierci Maryli Wolskiej, społeczeństwo polskie nie zdało sobie należycie sprawy z wielkości straty, jaką poniosło polskie piśmiennictwo. Ani krytyka literacka, ani szersze rzesze czytających nie zorjentowały się naogół w fakcie, że z pomiędzy żywych ubyła artystka o darze poetyckiego widzenia wprost wyjątkowym, jedna z tych—w każdem pokoleniu bardzo nielicznych,—których twórczość trwałe pozostawia ślady w historji literatury narodowej.

Dwa bodaj były główne powody roztargnienia, wskutek którego bujny talent poetycki Maryli Wolskiej mógł wyrastać i owocować nieomal nie zauważony przez współczesnych [1]. Przedewszystkiem zaważyła tu postawa duchowa samej poetki, dla której pisanie wierszy nie było „zawodem", nie było produkowaniem na użytek t. zw. rynku księgarskiego, z nieodzownem w tym wypadku baczeniem na istniejące na tym rynku wahania cen, gustów, zapotrzebowań. W swym stosunku do własnej twórczości, Maryla Wolska zawsze wierna pozostała tradycji dawnej, a jak cień lipy czarnoleskiej — czcigodnej, gdzie „poeta, słuchaczów prózny, gra za płotem, przeciwiając się świerczom, które nad łąkami ciepłe lato witają..." — tradycji poezji niehandlarskiej, a zrosłej z ziemią, nie poszukującej poklasku i nie potrzebującej legitymować się zgodnością z aktualnemi w światku literackim upodobaniami i modami.

Był wszelako i drugi powód, także nie bez znaczenia. W okresie, kiedy Maryla Wolska raz po raz ogłaszała nowy tom swych utworów („*Thème Varié*", 1902; „Symfonja jesienna", 1902; „Święto słońca", 1903; „Z ogni kupalnych", 1904), uzyskała pozycję jednej z szeregu poetek „Młodej Polski", rangę autorki, która „w pięknych, nieraz zbyt rozśpiewanych strofach, wierszem i prozą, oddaje z silną obrazowością wrażenia... z życia duszy mimozy" [2]—i jako taka, wespół z Kazimierą Zawistowską, Bronisławą Ostrowską i innemi, została w krytyce i historji literatury zaklasyfikowana. Raz taką opatrzona etykietą, mniej stosunkowo musiała już budzić zainteresowania u recenzentów, aczkolwiek jej rzadko potem publikowane dzieła wykazywały bezsprzeczny rozwój talentu i jego pogłębienie. Kiedy przeto w dziewiętnaście lat po ostatnim tomie nowel p. t. „Dziewczęta" (1910) ukazał się nowy zbiór jej wierszy — „Dzbanek malin" [3]), ani krytycy, ani zwykły zastęp konsumentów literatury poprostu nie byli zgoła przygotowani na tę rzeźwiącą soczystość, na tę świeżość, smak i woń poezji prawdziwej, którą miano ich podejmować.

Tymczasem ostatnie dziesięciolecie stało się dla poetki okresem ciężkich doświadczeń w życiu osobistem: męczeńska śmierć syna, zamordowanego przez hajdamaków w Złoczowie (1919), śmierć męża (1922), wkrótce potem śmierć matki (1923). I wtedy to w twórczości Maryli Wolskiej znalazła potwierdzenie teorja, którą dwudziestotrzyletni Stanisław Wyspiański formułował ongi w liście do Karola Maszkowskiego: „To się nazywa tęsknotą... to uczucie jest koniecznym warunkiem tworzenia czegoś, bo jest gatunkiem i rodzajem cierpienia—a tylko człowiek cierpiący, może być zdolny do tworzenia czegoś. Jest to myśl moja, aby ludzi z talentem właśnie... przymuszać do jakichś cierpień... wtedy zacząłby żyć ich ogień i płomień święty" [4]). Recepta dla twórców o psychicznej strukturze bohaterskiej, a taką aż do ostatka, do napisanego na kilka dni przed śmiercią artykułu polemicznego przeciwko propagandzie pacyfistycznej, do znalezionego po zgonie na biurku poetki bruljonu wiersza „W oczy..." — pozostała psychika Maryli Wolskiej.

*

Motywem uczuciowym dominującym, z którego powstał ostatni zbiór wierszy Maryli Wolskiej, „Dzbanek malin", był urok wspomnień, piękno rzeczy minionych:

„... świat sobie tworzę,
Dawność kochaną, com jest szczątkiem po niej,
Z książek, obrazów, zwierciadeł, mahoni —
A gdy tęsknotą pustkę tę zaludnię,
Rojno znów przy mnie i swojsko i cudnie."

Nawet wówczas, kiedy źródłem przeżycia poetyckiego było dla Maryli Wolskiej piękno przyrody, nie notowała go ona — jak np. Kasprowicz w „Księdze ubogich" — bezpośrednio, „na samotnych, codziennych przechadzkach w polu", lecz najczęściej w postaci wspomnienia:

„Między dwoma zboczami lasu droga bita,
Rzeka—i nad tartakiem biała dymu kita.

Deski pachną... Deskami zabity mój świat!
Lato—a ja mam znowu tylko dziewięć lat..."

Owo zwrócenie wzroku wstecz, to równocześnie wskazówka, pomocna dla wytłumaczenia tajemnicy wysokiej próby artyzmu „Dzbanka malin". Jeśli zadaniem poezji, i sztuki w ogólności, byłoby objawianie prawdziwej urody rzeczy, ukazywanie, we wzruszeniu poetyckiem dostrzeżonych, dla oka niewrażliwego niewidocznych często ich znamion istotnych—to w tym wypadku dokonywała tego jakgdyby bezwiednie, prawidłowo w psychice poetki funkcjonująca, selekcyjna działalność pamięci. „Nie zapomniałam nic" — oświadcza w jednym wierszu Maryla Wolska, i rzeczywiście „nie zapomniała nic" z tego, co było naprawdę ważkie, charakterystyczne, nie przypadkowe, czas natomiast pozacierał we wspomnieniu wszystkie szczegóły, w danym razie pozbawione istotniejszego znaczenia, natłokiem swoim zaciemniające właściwie i gmatwające rzeczywisty sens przeżyć i zdarzeń. Niezawodny jest efekt artystyczny zwięzłości, kiedy poetka kilkoma tylko dokładnie zapamiętanemi, konkretnemi szczegółami, czasem nawet jakiemś jednem trafnem, jedynem prawdziwie rzecz malu-

[1]) Nieuwaga ta posunęła się tak daleko, że jeszcze w roku bieżącym miasto Lwów, gdzie Maryla Wolska stale zamieszkiwała i tworzyła, przyznało swą nagrodę literacką nie jej, ale... Ignacemu Nikorowiczowi...

[2]) Al. Brückner: „Dzieje literatury polskiej w zarysie" t. II, str. 407.

[3]) Maryla Wolska: „Dzbanek malin", Medyka 1929, nakładem Bibljoteki Medyckiej.

[4]) Ogłoszone w „Lamusie", zeszyt II, r. 1909, str. 243

jącem wyrażeniem, potrafiła wywołać nieodparcie narzucającą się wyobraźni wizję dawniejszych czasów i ludzi. Oto np. zebranie u państwa Żulińskich:

„Co niedzieli, wieczorem, od lat,
Bywaliśmy tam wszyscy,
Znajomi dalsi i bliscy,
Sami tacy,
O których wtedy mówiło się jeszcze—rodacy".

Czyż to jedno słóweczko „rodacy" odrazu nie charakteryzuje gromadzących się w salonie państwa Żulińskich gości, czyż odrazu nie zapoznaje z nastrojem swoistym, nie wprowadza w atmosferę żyjącego wciąż jeszcze romantyczno-powstańczym idealizmem, staroświeckiego, patrjotycznego środowiska z osiemdziesiątych czy dziesięćdziesiątych lat ubiegłego wieku?

A oto inny przykład: przy pomocy paru tylko wyrazistych szczegółów opis odwiedzin u chorego śmiertelnie malarza lwowskiego, Franciszka Tepy († 1889):

„Leżał na nim jaskrawy, dziurawy kilim ruski,
A chory, w domowej kurcie,
Na stercie zmiętych poduszek
Tulił swoją małą Kadurcię,
Wyżlicę o puszystej sierci,
Zwiniętą w ciepły kłębuszek.
Leżał z otwartemi oczami,
Z głową do śmierci piękną
I pewno ucieszył się nami,
Bom widziała jak mu rysy miękną,
Ale mówić już nie mógł.
Zresztą w nogach łóżka
Siedziała brudna stróżka.
Zimno było, jak w krypcie..."

Jednocześnie w tej dbałości o dokładność każdego zapamiętanego szczegółu, w tej sumiennej rzeczowości widoczny jest żarliwy, uczuciowy stosunek poetki do wspomnień, które wskrzesza: każdy drobiazg, który pozostał w pamięci, jest dla niej drogi, każdy posiada znaczenie, niczego nie chciałaby zniekształcić, niczego się wyrzec. Dawność jest dla Maryli Wolskiej „kochaną", pragnęłaby zachować ją wiernie, nienaruszoną, w wyobraźni i we wzruszeniu:

„Kocham czar wspomnień, smutny wdzięk dawności,
Woń starych dworów, pustki i lawendy,
Rozwory wielkich, szklanych drzwi — bez gości,
Myśl, że tak wiele przeszło życia tędy,
Życia co płynąc, jak sen się ulatnia —
I żem nie pierwsza tu i nie ostatnia..."

I dzięki temu, dzięki tej postawie duchowej właśnie, poezja Maryli Wolskiej z samej istoty swej jest poezją głęboko narodową, niezależnie zupełnie od obecności czy nieobecności w poszczególnych utworach motywów o charakterze patrjotycznym, tem mniej — dydaktyczno-refleksyjnym. Jest nią przez tak znamienne dla świadomości narodowej poczucie bezpośredniej bliskości czasów minionych, nierozerwalnej spójni pokoleń przeszłych i następnych, jest przedewszystkiem przez cały rodzący się z takiego poczucia pogląd moralny, że życie jednostki nie może być szeregiem dowolnych, przypadkowych najzupełniej epizodów, ale jest fragmentem drobnym od wieków istniejącego i na wieki obliczonego ładu, w którego urzeczywistnianiu ona uczestniczy.

*

W ostatnich poezjach Maryli Wolskiej coraz częściej pojawia się motyw śmierci. Z myślą o niej obcuje poetka coraz bardziej zażyle: „Z dni dawnych same groby, dni nowych nie doczekam"... W przepięknej serji sześciu poetyckich obrazów-wspomnień „O dawnym Lwowie", dwa zawierają opisy pogrzebów, jeden — odwiedzin u konającego, jeden — Zaduszek. Równocześnie obok poczucia wieczności, którego źródłem jedność cywilizacji w nieprzerwanym ciągu pokoleń, w poezjach Wolskiej coraz mocniej wybijać się zaczyna poczucie życia wiecznego indywidualnie, czerpiące swą siłę z religji. Znakomicie ten stan ducha poetki odmalowuje się w najpiękniejszym może ze wszystkich, końcowym wierszu „Dzbanka malin" p. t. „Pożegnanie":

„Na polach spokój wielki
I szafirowa pogoda
Pod lasem dokwita wrzos.

Będzie niedługo zima!

Przeciąg świeży jak woda
Firankę w oknie wydyma,
Na szybach pełno os;
Pachną papierówki i muszkatelki
Pachnie suchemi grzybami...

Wrześniowe słońce plami
Biel chłodnych pokoi,
Po kątach się uśmiecha
Na pożegnanie,
A w dzbanie
Więdnie gencyany wiecha.

Będzie niedługo zima!

A tam za górami, lasami
Czekają wszyscy moi,
Wszyscy jedyni, ci sami,
Których już niema...

Na lasach szafirowa pogoda..."

Czarowna jest prostota tego wiersza, jego prawda i głębia. Sam temat znany, zdawna już nasuwający się wyobraźni poetów: jak w odzie *„Ad Torquatum"* Horacego (*Carm.* IV, 7), zmienność pór roku budzi tu refleksję o śmierci, przypomina o przemijaniu życia ludzkiego; *„...et mox bruma recurrit iners"* — „będzie niedługo zima!" Ale ileż orzeźwiającej świeżości wieje z tego krótkiego utworu! Jak niezawodnie autentyczny jest ten nastrój jesieni, oglądanej z okna dworu wiejskiego, wśród codziennych gospodarskich zabiegów, nastrój wiążący się z zapachem grzybów suszonych oraz wonią zebranych już i znoszonych z sadu owoców... Jest coś niezmiernie szlachetnego i podnoszącego na duchu w owj bliskości od konkretu życia normalnego do spraw wiecznych: jedno graniczy z drugiem bezpośrednio, splata się harmonijnie, dając jednostce niewyczerpane zasoby sił moralnych, przepełniając jej duszę „spokojem wielkim" i „szafirową pogodą"...

Bliskość wypływa z ładu. Gdzie porządek, tam odrazu odnaleźć można drogę najkrótszą, bez błąkania się, bez niepotrzebnego zbaczania na manowce. W jednym z wierszy Maryla Wolska powiada o sobie samej:

„Bierze mnie w siebie Wielki Ład
Na wieczne nieoddanie".

I rzeczywiście, w jej twórczości poetyckiej wyraził się doskonały ład wewnętrzny, w instynktach tkwiący, świadomością moralną prześwietlony, który z kolei i jej także nakazywał czuć się odpowiedzialną cząstką Wielkiego Ładu i wyznawać go rzetelnością prawdy swej pieśni.

JAN REMBIELIŃSKI

NA WIDOWNI

Jubileusz 25-letniej walki z Demokracją Narodową o program. — O cóż to chodziło? — Teorja i praktyka programów. — „Sanacja" ma też program—tylko szkodliwy. — Co jemu zawdzięczamy? — Opinje Rembielińskiego, Dmowskiego, Simondsa i Bukowieckiego o programie „czynnika decydującego". — Kosztowna lekcja.

GRUPA Zjednoczenia pracy miast i wsi, wydająca „Przełom", stwierdza (w nr. 29), że w Polsce jedynie Narodowa Demokracja (Stron. Narodowe) posiada program, ale dodaje — „program ten uważamy za szkodliwy dla Państwa". Zdaje się, że jest to jedyny punkt styczny „Przełomu" z obozem majowym, bo na wszystkich innych nastąpiło rozluźnienie. Na tym punkcie grupa „Przełomu" „od 25 lat" pozostaje z Dem. Narodową „w zdecydowanej walce". Zapytajmy: gdzie leży kość niezgody, zasadnicza różnica między obozem majowym a obozem wielkiej Polski, bo takie jest ściślejsze określenie obozu narodowego. Ta „kość" leży na terenie polityki zagranicznej. Wszystkie inne różnice polityczne są pochodne.

O tej jednak różnicy obóz sanacyjny, do którego grupa „Przełomu" należy, nie chce mówić, jest nieszczery — i to napawa społeczeństwo polskie największym niepokojem. Chwila obecna jest zbyt poważna, abyśmy tę stronę naszego położenia wewnętrznego mieli zasłaniać. Dwadzieścia pięć lat nieporozumienia — to okres czasu dostateczny, aby wreszcie nabrać rozumu i coś zrozumieć, jeżeli istotnie jest dobra wola służenia Ojczyźnie. W tych 25 latach mieści się nietylko Grzybów, Rogów i temu podobne niewinne igraszki międzynarodówki, ale mieści się też wielka wojna z zasadniczemi „nieporozumieniami" co do frontu, mieści się wyprawa kijowska i maj 1926. Oto główne etapy „zdecydowanej walki" z programem narodowym.

Co do programów — zanotujmy w tem miejscu — trzeba mieć zawsze w pamięci dwie zasady:

1) Ważne są, to znaczy istnieją, tylko programy wykonywane. Pisanych historja nie liczy.

2) Fakty wykonywane mają miarę objektywną: są korzystne albo niekorzystne dla narodu. Przewidzieć drogę korzystną jest zadaniem programu. Droga dziejowa trafna jest dla narodu tylko jedna. A więc program słuszny (trafny) może być tylko jeden. O tej trafności świadczą fakty i źle jest, jeżeli fakty do sumienia politycznego wszystkich rodaków nie przemawiają, jeszcze gorzej, jeżeli są ukrywane, a już nieszczęściem jest, gdy dla celów ubocznych z programem słusznym niedojrzałe grupy polityczne walczą.

O wszystko można się kłócić, ale nie wolno narodowi nie mieć wspólnej, jednej orjentacji geograficznej, historycznej i politycznej. Skoro już takie są gusta i możliwy jest wśród maruderów cywilizacji taki stan kultury, można się kłócić nawet o to, czy prawo jest potrzebne, czy potrzebny jest rządzącym kontakt z opinją publiczną, nawet kwestjonować, jako przesąd, własność publiczną, można się różnić co do metod wychowawczych kształcenia woli (z talerzem czy bez talerza), ale tyle zgodności być musi, ile obowiązuje gromady barbarzyńców nagich i kolorowych, aby zawsze wiedzieć, skąd grozi narodowi niebezpieczeństwo zewnętrzne.

Dwadzieścia pięć lat ten zmysł w narodzie tępić, z tem *minimum* programu politycznego walczyć i potem kusić się o sterowanie państwem, a dziwować się istnieniu opozycji — to, przy najusilniejszem kształceniu woli, pomyślności narodowi nie zapewni. To walczenie z faktami, nietylko z programami. To nie program. To pogrom zdrowego sensu i moralności politycznej.

Oczywiście w tych warunkach, jeżeli naród uniknie jakiego nieszczęścia, to jest cud Boski. Rozpamiętywanie takiego cudu, który się zdarzył dziesięć lat temu nad Wisłą, otworzyło narodowi oczy na fakty—i na programy.

Słusznie utrzymuje „Przełom", że wśród stronnictw opozycji jedno tylko Narodowe miało program polityczny, ale dlaczego nie wymienia wyraźnie programu „majowego"? Zasadniczy program polityczny był i jest wypisany faktami w dziejach 25-lecia. Pomijamy fakty z czasów wojny światowej; leży przedemną broszura Jana Rembielińskiego, wydana w 10-tą rocznicę bitwy pod Warszawą — o tej wojnie, która wynikła z programu „majowego". W broszurze tej p. t. „Dniepr i Wisła" po raz pierwszy dokonano obliczenia, ile Polskę kosztowała wyprawa kijowska:

1. Straciliśmy bez mała 200,000 oficerów i żołnierzy,

2. Popsuliśmy sobie plebiscyt na Warmji i Mazurach, wskutek tego straciliśmy te ziemie,

3. Zmarnowaliśmy dobrą sprawę Śląska Cieszyńskiego,

4. Przeszkodziliśmy zrealizować w Gdańsku postanowienia traktatu Wersalskiego na rzecz Polski,

5. Straciliśmy, wskutek umowy z Petlurą, Kamieniec Podolski i Płoskirów,

6. Zrujnowaliśmy ludność polską na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, która pozostała za kordonem,

7. Wpędziliśmy kraj w ciężkie położenie finansowe i gospodarcze.

To też autor tej broszury kończy rozważania słowami:

„Że Polska nie zapłaciła całkowitem zniszczeniem państwa, uratował ją duch narodu i bohaterstwo polskiego żołnierza, który krwią swoją wspaniale w ostatniej chwili wyrównał rachunek za nieumiejętną strategję, za politykę nieudolną, bezmyślną i jakgdyby przez wrogów Polski podyktowaną" (s. 39).

Roman Dmowski teraz w sierpniu ogłosił w prasie narodowej wielkiej doniosłości uwagi o kwestji ukraińskiej, właśnie ze stanowiska polityki międzynarodowej. Stwierdza tam, że zabiegi niemieckie dążą do oderwania ziem ruskich od Rosji i Polski i stworzenia niepodległej Ukrainy. Na ziemiach polskich praca Niemiec w tym kierunku trwa od r. 1902 i — jak wiemy — ustaliła z Austrją ten program 25 lat temu.

„Te zabiegi — pisze Dmowski — wywołały nawet słynną wyprawę na Kijów ze strony polskiej 1920 r., której powody i cele polityczne nie zostały dotychczas należycie wyjaśnione".

Z jakiego programu polityki polskiej czyn ten wynikał? Dmowski odpowiada na to:

„Jedno z największych nieszczęść Polski tkwi w tem, że dziesięciolecie, które upłynęło od jej odbudowania, nie

wystarczyło jej do wytworzenia programu wyraźnej, konsekwentnej polityki państwowej, odpowiadającego jej położeniu i jej interesom. Jej rozdwojenie polityczne, które wystąpiło tak jaskrawo podczas wojny światowej, nie skończyło się jeszcze, aczkolwiek zbliża się szybkiemi kroki ku końcowi. Polityczny absurd, który polegał na związaniu się z państwami centralnemi i na nagięciu całego programu polityki polskiej do ich widoków, nie zlikwidował się odrazu. Obóz, który ten absurd reprezentował, związał ze sobą na gruncie polityki wewnętrznej różnorodne żywioły, które mu dały poparcie w sprawach polityki zagranicznej, nie rozumiejąc ich lub uważając je za mniej ważne. To mu dało siły do narzucenia krajowi swej polityki zewnętrznej, w której nie wiadomo, co było świadomym programem, a co poprostu przyzwyczajeniem z ubiegłych czasów, od którego nieruchawa myśl uwolnić się nie umiała.

Stąd w polityce państwa polskiego widzimy ciągły opór przeciw temu, co się narzucało, co wynikało z logiki położenia, ciągłe próby wykolejenia jej, nawrócenia jej na drogi, po których szła dawniej w związku z państwami centralnemi. Odbiło się to fatalnie na pozycji międzynarodowej państwa polskiego i nawet wywarło ujemny wpływ na politykę naszego sojusznika, Francji".

Największem nieszczęściem jest brak programu, wskutek czego jesteśmy świadkami wytwarzanych faktów, sprzecznych z interesem kraju. Opinja zaś tak programowo jest bałamucona, że rozłobuzowana prasa, nabyta do wychwalania wszelkich faktów, zdarzających się obozowi małej Polski, nawet się cieszy na widok popłochu, jaki sprawia w społeczeństwie samo pomyślenie, że „czynnik decydujący" może się znowu wziąć do stwarzania faktów. „Kurjer Poranny" donosząc o zamachu, jaki zrobił na siebie samego p. Sławek i pogłosce, że do steru dojść może „czynnik decydujący", śmieje się do rozpuku:

„Wśród kilku posłów opozycyjnych, wzmacniających się w bufecie, zapanował podobno niewypowiedziany popłoch: świadkowie opowiadają o pobladłych twarzach i o niemej zgrozie. Niemniejsze wrażenie zapanowało wśród dziennikarzy sejmowych".

Z czego się śmiać lub czemu się dziwić? Czy nawet wypada Polakowi się śmiać? „Słowo Pomorskie" z 20 sierpnia b. r. (nr. 131) pisze:

„Znalazłszy się wśród tak przykrych okoliczności, warto przypomieć wywody znakomitego publicysty i historyka amerykańskiego, F. L. Simondsa, który osobiście zwiedzał Polskę i badał nasze stosunki polityczne. Jego spostrzeżenia i twierdzenia wywołały w lecie 1926 r. ogromną burzę w dziennikach sanacyjnych. F. L. Simonds wypowiadał bowiem bardzo dziwne poglądy na przyszłość Polski a zwłaszcza na rolę J. Piłsudskiego po przewrocie majowym".

Wywody tego wybitnego Amerykanina ukazały się w *„The Sunday Times"* (z dnia 13 6. 1926 r.), a następnie zostały powtórzone przez liczne dzienniki w świecie. Oto przewidywania p. F. L. Simondsa (przedruk ze „Słowa Pom." nr. 166, z dn. 23. 7. 1926 r.).

„Czego Polska potrzebuje, to wielkiego administratora i znawcy finansowego z odwagą i powagą, konieczną do wprowadzenia porządku w chaosie, który jest nieuniknionym skutkiem młodości, niedoświadczenia i nieszczęścia. To, co otrzymała w postaci Piłsudskiego, jest czemś pośredniem między Garibaldim i Napoleonem III-cim, ze słabemi cechami obu... Piłsudski nie ma daru do administracji, nie ma europejskiego sposobu myślenia. Zdrowy nastrój kraju jest mu przeciwny. Obawiam się, iż obecnie— prędzej czy później — ujrzę jako skutek historji Piłsudskiego, zmianę granic Polski.

W całej swej długiej i tragicznej historji Polska nie miała większego nieszczęścia. Nie można dziś ocenić granic i rozciągłości tej klęski. Każdy jednak, komu zależy na Polsce, musi żałować, że tak się stało, a każdy studjujący sprawy Europy musi uznać, że zarówno na wschodzie jak i na zachodzie skutki tego mogą być olbrzymie".

Polityka t. zw. „sanacyjna" jest bardzo kosztowną lekcją, pouczającą negatywnie: jaką polityka być niepowinna, a ludzie uczciwi, nie mający swojego programu, nie powinni wojować z grupą, która program polityczny posiada — i to program, którego wartość stwierdziły fakty, który wytrzymał próbę największego ciśnienia podczas kataklizmu światowego.

Prof. Feliks Koneczny w znakomitej rozprawce, ogłoszonej w nr. 32 „Myśli Narodowej" dowiódł, że źli ludzie nie mogą stworzyć nic trwałego, że więcej trzeba się obawiać ludzi uczciwych, którzy złemu oddadzą na usługi swoją dobrą wiarę, bo wiara się udziela i rzeczy szkodliwe utrwala. Nawet ci ludzie, hypnotyzowani przez wrogów polskiego programu narodowego, dzisiaj, gdy kraj znalazł się w niezwykle groźnej sytuacji, spostrzegają, że szli drogą fałszywą. Ten sam „Przełom", który niedawno chlubił się tem, że uznaje program Stronnictwa Narodowego za szkodliwy, w nr. 34 z 24 sierpnia r. b. uderza w dzwon na trwogę, że niebezpieczeństwo grozi Polsce od Niemiec. Przecież za to wskazanie, nie za co innego, obóz Piłsudskiego walczył z programem Stron. Narodowego. I któż to jest dzwonnikiem? Prezes prokuratorji państwa, Stanisław Bukowiecki, do krytycznego roku jakiegoś 1904, przed 25 laty, jeden z najczynniejszych członków Ligi Narodowej i twórców Demokracji Narodowej, a później z tąż Demokracją Narodową walczący, protegujący wszystkie rozłamy w łonie obozu narodowego i z tego tytułu dodający powagi swoim podpisem „Przełomowi". Nikt tyle, co on, nie zadał sobie trudu myślowego, aby uzasadnić potrzebną „sanacji" teorję państwa anarodowego wbrew zasadom suwerenności narodu. Od tego czasu było w złym tonie używanie wyrazu naród. I „Przełom" go nie używał. Czem jest naród? Zbiorowiskiem idjotów — mówiono. A teraz oto S. Bukowiecki pisze:

„W mniemaniu mojem niemieckie dążności rewizjonistyczne w stosunku do granicy polskiej stanowią objaw tak olbrzymiej doniosłości, że powinien on zapanować nad całą sytuacją w Polsce, w tem znaczeniu, iżby stał się on punktem zwrotnym w nastawieniu naszego życia. Jakiekolwiek ustępstwa, a nawet targi i układy z Niemcami, dotykające całości naszego terytorjum, absolutnie niedopuszczalne, znaczyłyby one początek końca. Pod tym względem panuje zgodność w całej opinji polskiej skądinąd skłóconej. Ale niedość jest stwierdzić nasze absolutne *non possumus* w stosunku do uroszczeń niemieckich, trzeba zmierzać do wytworzenia takich warunków, któreby pozbawiły te uroszczenia wszelkich szans realizacji tak dalece, iżby wieść o nich ucichła. A to się stanie wówczas, gdy naród polski stanowić będzie potężną, zwartą siłę, jaką być może i, pod groźbą zatracenia, być musi".

Więc nie polityka ukraińska w przymierzu z Niemcami, lecz front zwrócony ku Niemcom. Cóż więc zostało z łączności z „sanacją"? To też konsekwentnie Bukowiecki idzie dalej:

„Tylko duchowa zwartość społeczeństwa może być moralną podwaliną jego siły zewnętrznej, a oczywiście wrogiem takiej zwartości będzie zewnętrzna waśń i nienawiść polityczna, idąca tak daleko, że uniemożebnia normalne współdziałanie najwyższych organów państwa, a tem samem tamuje dalszą jego wewnętrzną budowę, która daleka jest jeszcze od ukończenia. To też likwidacja kryzysu państwowego, w jakim obecnie Polska się znajduje, stanowi pierwszorzędny nakaz nietylko z punktu widzenia życia duchowo-moralnego narodu, ale przedewszystkiem z punktu widzenia jego zwartości i siły".

Pocóż było przez 25 lat zwalczać ideologję demokracji narodowej, aby teraz wielkim głosem aprobować zasadnicze punkty jej programu zarówno w polityce zewnętrznej, jak wewnętrznej? Uczciwość zwycięża hypnozę w rasowym Polaku i człowieku czystych rąk. Z innymi o programach i troskach narodowych rozmawiać nie warto.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

PROBLEM POLSKO-NIEMIECKI W WYCHOWANIU

(Dokończenie)

O WIELE ważniejsze są jednak podręczniki dla szkół średnich ogólnokształcących, z których wychodzi elita umysłowa, mająca kierować w przyszłości losami narodu. Powinna ona tem lepiej znać przeszłość narodu, jego obecne położenie i warunki rozwoju. Z pośród podręczników, używanych w gimnazjach, ani Czesława Nankego: „Historja średniowieczna“ (wyd. IV. Lwów 1929) i „Historja nowożytna“ (część I wyd. IV. Lwów 1926, część II. wyd. III. Lwów 1927, Książnica Atlas), ani prof. dr. Anatola Lewickiego w opracowaniu Jana Friedberga: „Zarys historji Polski“ (Tom I. wyd. XIII. Kraków 1928. Tom II, wyd. XIII, Kraków 1928, Gebethner i Wolff) — nie spełniają należycie pod tym względem zadania.

Nanke uważa np., że istnieją tylko „silne poszlaki“ („H. N.“ Cz. II, str. 251), że Niemcy popierały przed wojną ruch ruski we wschodniej Galicji, to też nie widzi kierowniczej roli Niemców w polityce państw zaborczych w stosunku do nas. Położenia politycznego Polski w Europie powojennej zupełnie nie przedstawia, nie podaje np. żadnego uzasadnienia dla przymierza polsko-francuskiego.

Podręcznik Lewickiego w ostatniem wydaniu przedstawia się w niektórych częściach jeszcze gorzej od podręcznika Nankego i gorzej od poprzedniego swego wydania. Np. obraz walki Mieszka I. o utrzymanie niezależności jest zupełnie zaciemniony całym szeregiem tego rodzaju twierdzeń jak: „zacięte walki polsko-niemieckie i nienawiść między Polakami a Niemcami powstały dopiero później“ (T. I, str. 31), „Mieszka I. należałoby uważać raczej za sprzymierzeńca niż za wroga cesarza“ (T. I, str. 31). „Otton I. szedł także zrazu Mieszkowi na rękę“ (T. I, str. 32) i t. d. Przy omówieniu przyczyn upadku państwa polskiego ani wzmianki o roli Niemców (T. I, str. 375).

Podręcznik ten wpaja w młodzież także fałszywe zapatrywania, jak np., że „Przyjaźń rosyjsko-francuska (przed wojną światową, przyp. red.) była dla sprawy polskiej szkodliwa“ (T. II. str. 185.), lub w odniesieniu do czasów powojennych, że w Niemczech tylko „stronnictwo nacjonalistyczne... dąży do odzyskania tego stanowiska, jakie Niemcy miały przed wojną, do zagarnięcia z powrotem utraconych ziem, a przedewszystkiem odnosi się nienawistnie do Polski“. (T. II. str. 258). Czy tylko stronnictwo nacjonalistyczne? Czy pod tym względem istnieje jaka różnica pomiędzy socjalistą Breitscheidem a nacjonalistą Hugenbergiem? Nic dziwnego, że wobec takiego poglądu na Niemcy współczesne, niema zadnego uzasadnienia dla przymierza polsko-francuskiego.

Wymienione podręczniki nie przedstawiają należycie zagadnienia polsko-niemieckiego i dlatego nia spełniają swego zadania, ale nie można ich autorów posądzać o złe intencje. Tymczasem nie można tego samego powiedzieć o autorach książki, która ukazała się w ostatnich czasach, a którą ze względu na jej tendencje należy uznać za szkodliwą. Dlatego uważam za swój obowiązek zwrócić na nią uwagę czytelników, zwłaszcza nauczycieli.

Jest to książka; St. Arnold—Cz. Leśniewski—H. Pohoska „Polska w rozwoju dziejowym“ (Zesz. I. Dzieje polityczne Polski. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie 1929). Przedstawia ona dzieje Polski w układzie zagadnieniowym. Nie w ścisłem tego słowa znaczeniu podręcznik szkolny, ale książka, która w myśl intencji autorów ma szczególnie uczniom klasy ósmej gimnazjów ułatwić utrwalenie sobie „wiadomości o czasach przeszłych bezpośrednio przed skończeniem szkoły w sposób bardziej odpowiadający wymaganiom wiedzy historycznej“ i „zrozumienie poszczególnych zjawisk współczesnych w ich dziejowym rozwoju“ (Przedmowa).

Rozdział 2 p. t. „Stosunki Polski z państwami niemieckiemi“ opracowany jest starannie przez p. St. Arnolda. Niektóre epizody przedstawione są zupełnie dobrze np. rola Prus w rozbiorach Polski. Nie daje jednak całości obrazu stosunków polsko-niemieckich, ponieważ cały materjał rozbija na szerzg zagadnień jak: Polska a cesarstwo rzymsko-niemieckie w w. śr., Polska a Austrja, Polska a Zakon Krzyżacki i Polska a Prusy (Brandenburgja).

Kwestja, która nas interesuje, jest także przedmiotem rozdziału, opracowanego przez p. Hannę Pohoską p. t. „Walki o niepodległość i czasy niewoli 1795 — 1918“. Rozdział ten zajmuje w książce uprzywilejowane stanowisko. Na omówienie całych dziejów politycznych Polski niepodległej poświęcono 135 stron, a sam ten rozdział zajmuje 66 stron, z których kilka poświęcono omówieniu potopu szwedzkiego, konfederacji barskiej i powstania Kościuszki.

Już z tytułu rozdziału, a więcej jeszcze z tekstu widać, że autorka uważa spiski i powstania za główną treść życia politycznego narodu w okresie niewoli. Do innych dziedzin przywiązuje znacznie mniejszą wagę. Historji powstania listopadowego, nie licząc przyczyn i skutków, poświęciła prawie dwa razy więcej miejsca, niż przedstawieniu stosunków politycznych we wszystkich trzech zaborach w ostatnich 50 latach niewoli, a nawet w zaborze austrjackim i pruskim od r. 1848 wzgl. 1850, z wyjątkiem kwestji stronnictw politycznych w tym czasie). Nie wiele mniej miejsca poświęciła ustępowi zatytułowanemu: „Czasy spisków patrjotycznych 1815 — 1830“. A przecież ten okres ostatnich 50 lat niewoli jest tak ważnym w naszej historji i ze względu na to, że tyle zmian w nim zaszło i że jest w stosunku do chwili bieżącej dniem wczorajszym w historji naszego narodu, dniem, który bezpośrednio wyprzedził wojnę światową i odrodzenie państwa polskiego.

Ten spiskowo - powstańczo - wojowniczy pogląd na naszą przeszłość jest dosyć dziwny u autorki, która w innych swoich dziełach (patrz: „Dydaktyka historji)“ propaguje wychowanie młodzieży w duchu pacyfistycznym. Tę sprzeczność wyjaśni nam następujące zestawienie. Akcji Józefa Piłsudskiego w bojówkach socjalistycznych i związkach strzeleckich przed wojną poświęca autorka więcej miejsca, niż stosunkom politycznym w zaborze pruskim w okresie od 1850 — 1914 r. To też czytelnik dowiaduje się np. o tem, jak to pp. Walery Sławek, czy Edward Rydz-Śmigły, jako jedni z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego, przygotowywali kadry strzeleckie przed wojną (str. 191/2), ale z drugiej strony o komisji kolonizacyjnej tyle, że w pewnym momencie „dano jeszcze 100 miljonów na jej akcję“ (str. 184), chociaż

autorka nie powiedziała, ile komisja otrzymała przedtem, ani też tego, że ostatecznie powiększono jej fundusze do 1 miljarda marek. Nie spotka się też czytelnik z nazwiskami takich ludzi, jak Maksymiljan Jackowski czy ks. Wawrzyniak.

Nic dziwnego, że przy takiem ujęciu historji, gdzie dla wywyższenia jednostki pokrywa się milczeniem działalność narodu, niema miejsca na przedstawienie planu i działalności Niemców przeciw nam. P. Pohoska, która w swej „Dydaktyce historii“ tak stanowczo występuje przeciw patrjotycznym tendencjom w nauczaniu historji, nie uważa widocznie za złe tendencyjnego ujmowania historji, gdy chodzi o tworzenie legendy *ad maiorem gloriam* jednostki.

Nie mniej charakterystyczny od poprzedniego jest ostatni rozdział książki p. t. „Polityka Zewnętrzna Polski odrodzonej (1918 — 1928)“, opracowany przez p. St. Arnolda. Zdawałoby się, że książka, której zadaniem jest „ułatwić zrozumienie poszczególnych zjawisk współczesnych“, powinnaby wyjaśnić obecny stosunek Niemców do nas.

P. Arnold nie widzi żadnego niebezpieczeństwa, grożącego nam ze strony Niemców, a w każdym razie o niem nie wspomina. Skutkiem tego nie wspólne niebezpieczeństwo niemieckie wiąże Polskę z Francją, według niego o przymierzu zadecydowały następujące dwa fakty: „Niechęć Lloyd George'a do Polski prowadziła do coraz większego zbliżenia się polsko-francuskiego. W r. 1921 w czasie pobytu Naczelnika Państwa, marsz. J. Piłsudskiego, w Paryżu, ułożono akt przymierza polsko-francuskiego (podpisanego 19.X. 1921 r.)“ (str. 209). Innych czynników p. Arnold nie zna. Wystarczy, żeby brakło pp. Lloyd George'a i J. Piłsudskiego, a przymierze polsko-francuskie straciłoby wszelką rację bytu.

Należycie zorjentować w obecnem położeniu Polski ma ucznia 8 kl. gimn. także taki charakterystyczny pogląd p. Arnolda: „Sytuację Polski wzmocniło i to, że w kwietniu 1922 r. doszło do bliższego porozumienia się Niemiec z Rosją (traktat w Rapallo)“. (str. 209). Wprawdzie historja uczy nas, że ile razy przychodziło w przeszłości do ściślejszego porozumienia między tymi dwoma naszymi sąsiadami, wtedy zawsze myśmy płacili koszty, to jednak nie przeszkadza autorowi w uznaniu takiego wypadku w chwili obecnej za rzecz dla nas pożądaną. Może po rozpatrzeniu dalszych ustępów rozdziału zrozumimy lepiej zasady rozumowania p. Arnolda.

W dalszym ustępie swej pracy, zatytuowanym: „Pacyfikacyjna polityka Polski w latach 1923—1928“, powiada autor: „W drugiem pięcioleciu Polska występuje już jako okrzepnięty, samodzielny czynnik polityczny. Zawarto w latach 1923 — 1924 szereg umów i traktatów z Niemcami, uzyskano zwycięstwo w sporze z Gdańskiem o utworzenie poczty w Wolnem Mieście (1925 r.)“ (str. 210). Ponieważ niema nigdzie wzmianki o jakichkolwiek nieporozumieniach między nami a Niemcami, więc ogólne wrażenie zostaje jedno: stosunki jak najlepsze, same umowy i traktaty są treścią naszego współżycia.

Mówiąc o układach w Locarno powiada p. Arnold: „Choć Polska nie uzyskała gwarancji co do swych wschodnich granic (prawdopodobnie miało być: zachodnich, przyp. red.), jednak jej polityka wybitnie pokojowa, przyczyniła się do umocnienia stanowiska w zagadnieniach międzynarodowych“ (str. 210). A jako dowód tego „umocnienia“ przytacza: „To też kiedy postanowiono przyjąć Niemcy do Ligi Narodów i oddać im stałe miejsce w Radzie Ligi (tak, jak to posiadały mocarstwa główne), Polska znalazła poporcie u szeregu państw w swych staraniach o uzyskanie analogicznego miejsca“ (str. 210). No i wiadomo, że takiego miejsca nie uzyskała!

I jeszcze jeden przykład „mocnego“ stanowiska: „Mogła też Polska wystąpić we wrześniu 1927 r. z inicjatywą zawarcia przez wszystkie państwa, należące do Ligi, traktatu, wyłączającego zupełnie wojnę. Wprawdzie opozycja Anglji umożliwiła uchwalenie tylko rezolucji tej treści (1927 r.), ale już w 1928 r. z podobną inicjatywą wystąpiły Stany Zjedn. A. P. i po dłuższych rokowaniach szereg państw podpisał w Paryżu (28.VIII. 1928 r.) t. zw. pakt Kelloga (m. in. także Polska), który zabraniał wojny, jako środku dochodzenia swych praw“. (str. 210/1). Czyli innemi słowy Anglicy pozwolili p. Kellogowi na to, na co nie pozwolili p. Sokalowi. A szkoda! mielibyśmy pakt Sokala a nie Kelloga!

Przytoczyłem dlatego to ostatnie zdanie p. Arnolda, jakkolwiek ono bezpośrednio nie łączy się z omawianym tematem, ponieważ pozwala nam zrozumieć intencje czy tendencje p. Arnolda. Pokój na ziemi, wojna zabroniona! Polska przez swoją „pokojową“ politykę odnosi same sukcesy: zwycięża Gdańsk w sprawie skrzynek pocztowych, uzyskuje bezskuteczne poparcie szeregu państw w sprawie stałego miejsca w Radzie L. N., a p. Kellog uczy się od p. Sokala, jak chronić świat przed wojną. Z Niemcami same umowy i traktaty, omal nie przymierze!

Oto jakie wiadomości o współczesnem politycznem położeniu Polski powinni wynieść z gimnazjum, według pp. Pohoskiej i Arnolda, przyszli przywódcy duchowi narodu. Co znaczy jasne orjentowanie się w rzeczywistości, zdawanie sobie sprawy z niebezpieczeństwa, wobec możności wszczepienia kultu dla jednostki lub utopijnych haseł pacyfistycznych? Brak poczucia odpowiedzialności wobec historji narodu jest nadzwyczajnie charakterystyczny dla tych państwa, którzy są niestety wychowawcami młodego pokolenia. Obóz narodowy musi nad ich działalnością tem czujniejszą roztoczyć kontrolę, że jak zapowiadają w przedmowie, mają nas uszczęśliwić całym cyklem tego rodzaju podręczników dla szkół i średnich i powszechnych. Czy dobro narodu jest ideą przewodnią tej zorganizowanej akcji, czy też raczej w harmonijnym zespole chwała jednostki i utopja ludzkości?

Tak wyglądają nasze podręczniki, które mają informować młodzież o przeszłości i wyjaśniać jej współczesne życie. A jak wygląda duch nauki w szkole? Można z wielkiem prawdopodobieństwem postawić twierdzenie, że podobnie. Przecież podręcznik jest dla olbrzymiej większości młodzieży jednem z najważniejszych, jeżeli nie jedynem źródłem wiedzy, a dla znacznej części nauczycieli główną wytyczną w nauczaniu.

A jeżeli tak jest, to znów można śmiało wypowiedzieć drugie twierdzenie, że pokolenie, które z takiemi wiadomościami wyjdzie ze szkoły, nie będzie przygotowane do rozwiązywania pierszorzędnych zagadnień, które nań czekają. Życie je dopiero potem uczyć będzie, zapozna z rzeczywistością, ale tu nauka będzie drogo kosztowała, tak jak kosztowała nas, „pokolenie, które żyło na prze-

łomie dziejów Polski. Jeszcze dzisiaj płacimy koszty naszej nieświadomości, jak świadczy o tem między innemi niedawno zawarta z Niemcami umowa likwidacyjna.

Ale zdajmy sobie sprawę z tego, że my już nie mamy czem płacić za naukę, my już nie możemy nic stracić, już dalej nie możemy się cofnąć ani o krok. Jeżeli chcemy kiedyś spokojnie żyć, musimy odzyskać to, co nasi ojcowie przez nieświadomość czy słabość stracili.

Z tego musimy sobie wszyscy zdać jasno sprawę, szczególnie my, nauczyciele, wychowawcy, a z pośród nas zwłaszcza ci, którzy piszą książki i podręczniki dla młodzieży polskiej. Wszystko jedno, z jakiego punktu widzenia patrzymy na kwestję wychowania, czy jako podstawę bierzmy wychowanie narodowe, czy też, wynajdując sztucznie jakieś przeciwieństwa między narodem a państwem, staramy się wychowanie oprzeć na zasadzie „państwowej". W tym wypadku pomiędzy nami nie powinno być różnicy. Niebezpieczeństwo zagraża tak narodowi jak i państwu polskiemu. Musimy wychować pokolenie, które to niebezpieczeństwo potrafi odeprzeć. To jest nasz obowiązek wobec narodu i państwa polskiego!

J. HAJEWICZ

NAUKA I LITERATURA

W SPRAWIE POLSKICH PUBLIKACYJ NAUKOWYCH

W № 33 „Myśli Narodowej" p. Bej zabrał głos w sprawie jego zdaniem, „niezdrowego objawu" — zbyt wielkiego odsetku prac, wydawanych przez naszych uczonych w językach obcych [1]).

W sprawie tej, istotnie, jest wiele punktów drażliwych W swoim czasie pisałem o tem w mojej książce „Nauka i Uczony" (1917), różne podnosząc nastręczające się tu trudności, wśród nich wszakże nie było ani jednej z tych, które obecnie wysuwa p. Bej, a które są, muszę się przyznać, dla mnie niespodzianką, aczkolwiek zdawało mi się, że rzecz tę dość dokładnie przemyślałem.

Niewątpliwie, artykuł p. Beja powstał pod wpływem najzacniejszej troski o zachowanie wartości narodowych w naszych publikacjach naukowych. No, ale i mnie chyba nikt nie posądzi o traktowanie, mówiąc z żydowska, „walorów" naukowych z jakowegoś masońsko-międzynarodowego stanowiska. A jednak — z przykrością — muszę się wypowiedzieć stanowczo przeciw wszystkim wywodom p. Beja.

Argument, że w sprawie podniesienia autorytetu nauki polskiej zagranicą „decydującą rolę odgrywa nie język, w jakim pewne prace zostają wydane, lecz ich wartość naukowa" — jest zupełnie słuszny, chodzi tu tylko o drobiazg: aby cudzoziemcy mogli tę wartość naukową zrozumieć i ocenić. A tu żadne „krótkie *résumé*" nic nie pomoże, nawyżej treść istotną pracy zaciemni: „*brevis esse volo, obscurus fio*"...

Nie rozumiem też zgoła zmartwienia o nieznającego języków obcych studenta, lub „inteligentniejszego inteligenta". Solidny, naprawdę chcący poważnie naukę traktować student Francuz, Włoch, Anglik lub Niemiec — też musi się paru języków obcych nauczyć, aby jako tako móc zacząć samodzielnie z literaturą naukową się zapoznawać... A student Polak ma tu być jakimś wyjątkiem dziwnie uprzywilejowanym, dlatego prawdopodobnie, że go w szkołach dzisiejszych kiepsko uczono, nie dając mu ani elementów rzetelnych języków nowoczesnych, ani znajomości głębszej klucza do języków wszelkich — łaciny? A że się „odstraszy" „inteligent" o pseudo naukowych zachciankach — to: szczęśliwej drogi! „*Homo unius linguae*" gorszy jest bodaj, niż „*homo unius libri*".

„Za obrazę ambicji narodowej" uważałby sobie uczony angielski, francuski, niemiecki, gdyby mu zaproponowano ogłoszenie swej pracy w języku obcym... Oczywiście. Bo ich języki ojczyste należą do czterech, uznanych w stosunkach naukowych za międzynarodowe. Natomiast w identycznem z nami położeniu są np. uczeni szwedzcy lub holenderscy, o nie mniejszej niż nasza tradycji naukowej, a którzy drukują swe prace w jednym z owych czterech języków, też przecież dla nich obcych. A na ziemi najmocarniejszych wysiłków duchowych, którym całą zawdzięczamy naukę — wydawano „*Archives Italiennes de Biologie*"....

Zresztą — sprawa cała została pomyślnie rozwiązana przez Polską Akademję Umiejętności, która przecież i na straży godności nauki naszej stoi, i orjentuje się chyba dobrze w stosunkach naukowo-międzynarodowych. Wydaje ona swój „*Bulletin International*" w językach obcych, a prace tam ogłaszane są znane i cytowane w publikacjach całego świata. Obok tego biuletynu wychodzi też tam corocznie i szereg publikacyj polskich, zależnie od typu pracy i stopnia jej „lokalności". Wszak o tych rozprawach, w obcych wydawanych językach — cudzoziemcy wiedzą doskonale, że są one polskiej nauki, polskiej myśli wytworem! Nic też w tem niema zdrożnego, że np. wydawnictwa naszego Muzeum Zoologicznego są przeważnie w obcych ogłaszane językach: przynajmniej nie mogą być pomijane przez naszych miłych „sąsiadów", nawet francuskie prace niechętnie cytujących... Nie chodzi tu o manifestację jakąś na gruncie międzynarodowym, lecz o to, aby na świecie dokładnie wiedziano, jak Polacy pracują i jakie są istotne, a krytyce wszechświatowej dostępne — tej pracy wyniki. No, i przecież — nie mamy czego się wstydzić....

A leniwy student, lub bojący się gramatyki francuskiej „inteligent" — niech w ciągu dalszym tkwią w zaściankowem mniemaniu, że dziś można sobie dać radę w studjach naukowych — ze znajomością jednego tylko języka. I tak żadnej z nich nauka polska nie będzie miała pociechy.

JAN TUR

*

W tej samej sprawie, w liście do redakcji, pisze współpracownik i przyjaciel naszego pisma, prof. Władysław Konopczyński:

„Czytałem w „Myśli Nar." artykuł przeciwko nadmiarowi polskich dzieł naukowych, drukowanych w obcych językach. Nie zgadzam się z autorem bynajmniej. Jest koniecznością, obowiązkiem i chlubą naszą przenikanie do myśli naukowej świata, a liczyć na to, że się świat nauczy po polsku—niepodobna. Pan Redaktor odpowie: to drukujmy po polsku i po cudzoziemsku. Niezawsze to jest możliwe, a jeśli rzeczy wartościowe wychodzą w języku obcym, to trzeba się go uczyć. Co to za uczony, który leni się zbogacić poznaniem obcego języka? Która to nauka obywa się bez literatury francuskiej, niemieckiej, angielskiej, włoskiej? Ja na punkcie znajomości języków jestem dla moich uczniów nieubłagany. *Il n'y a point de salut.* Sam do kilkunastu języków, w których dotąd czytałem książki, dorzuciłem świeżo chorwacki: dla poznania jednej książki! Żądałem od Akademji i od Kasy Mianowskiego utworzenia biura tłumaczeń na obce języki. Bo powtarzam: propaganda naszych zdobyczy naukowych zagranicą, to nasz narodowy obowiązek."

[1]) Poruszana we wspomnianym artykule p. Beja sprawa, jest niewątpliwie dla naszego życia naukowego ważna, pożyteczne jest więc możliwie najwszechstronniejsze jej oświetlenie. Z tego powodu chętnie drukujemy nadesłane nam przez prof. dr. Jana Tura uwagi polemiczne. (Przyp. Red.)

RUCH WYDAWNICZY

Roman Dmowski pracuje nad dziełem „Przyszłość Polski“. Jeden z rozdziałów tej książki, poświęcony kwestji ukraińskiej, ogłosił w drugiej połowie sierpnia w dziennikach. Społeczeństwo polskie spragnione jest wskazań ze strony Dmowskiego, do którego ma bezwzględne zaufanie i niecierpliwie oczekuje książki.

*

W „Gazecie Warszawskiej“ Józef Hłasko ogłosił w tych dniach bardzo ciekawe i, jak zawsze z sympatyczną prostotą pisane, wspomnienia. Nestor dziennikarstwa naszego p. t. „Przed pół wiekiem“ odtworzył ze wspomnień osobistych wypadki w Rosji z r. 1881 w związku z zamachem na Cara Aleksandra II i opisał, jak się odbyło jego aresztowanie oraz dzieje swego zesłania na Sybir.

*

Redaktor „Myśli Narodowej“ Zygmunt Wasilewski rozpoczął w „Gazecie Warszawskiej“ druk szkicu historycznego p. t „Wnukom o pra-pradziadku“. Jest to wysnuta z archiwów biografja dziadka jego, Józefa Wasilewskiego, żołnierza napoleońskiego (1759 — 1831).

*

Czytelników „Myśli Narodowej“ pewno zainteresuje wiadomość, jak ich pismo jest czytane, jak promieniuje jego wpływ przez prasę. Oto parę cyfr. Fejleton „Na widowni“ z nr. 29, gdzie red. Wasilewski pisał o dziwnej zbieżności polityki ukraińskiej z zakusami Niemiec na Polskę, wskutek czego Polska sama ulega prądowi niemieckiemu „na wschód“, — przedrukowało, ileśmy zdołali stwierdzić, 15 dzienników (Kur. Poznański, Polonja, Słowo Pomorskie, Dzien. Pomorski w Chojnicach, Nasza Chodzież, Dzien. Kujawski, Gazeta Bydgoska, Orędownik Wielk., Dzien. Cieszyński, Placówka Kresowa, Lwowski Kur. Poranny, Dzien. Wileński, Słowo Radomskie, Głos Lubelski, Gaz. Warsz.).

„Na widowni“ z nr. 31, gdzie była mowa o opłakanych skutkach rozłączenia w r. 1815 dziejów nowszej Polski od Wielkopolski i Pomorza, przedrukowało dotąd 11 dzienników. Oczywiście najlepszy rezonans mają dzielnice nasze na zachodzie, poważnie interesujące się losami narodu i państwa.

Znakomity artykuł K. L. Konińskiego z Krakowa z nr. 30 p. t. „Komasacja“ przedrukowało ośm dzienników. Słynny wiersz ś p. M. Wolskiej „W oczy“... obieg conajmniej przez 20 dzienników. Najwięcej przedruków spotykamy z rubryki „Na marginesie“.

SZTUKI PLASTYCZNE

PORTRET

NIEMA dobrego gruntu dla rozwoju portretu w czasach demokratycznych. Możemy to sprawdzić naocznie — my, nieszczęśni, których los umieścił w okresie powszechnej demokratyzacji. Malarz, lub rzeźbiarz-portrecista w dużym stopniu zależy od sfery, która portrety zamawia. A obecnie sfera, mająca na portret uroszczenia i pieniądze, posiada rasę najmniej portretu godną. Dość przejrzeć kilka roczników czasopism obrazkowych, gdzie zgromadzone są fotografje współczesnych polityków, dostojników, przemysłowców, działaczów i osobistości na dobie rozgłosu będących, czyli nadobnych. Co za gęby! Pożywi się na nich karykaturzysta, lecz z głodu zginie portrecista. Z głodu (należy rozumieć) artystycznego.

Ten oto premjer wielkiego państwa wygląda jak szewc podchmielony, tamten premjer wielkiego państwa — jak portjer podrzędnego hotelu, ów znowu premjer wielkiego państwa — jak zbir pod szubienicą. A żony ich — jak tyndyryndy. Wszystko to z pod czerwonego sztandaru. Szczególny dobór dziatek ma papa socjalizm i mama demokracja! Jeszcze do pewnego stopnia ciekawe są tarcze twarzowe różnych z tego towarzystwa obwiesiów. Ale ogół miłościwie nam panujących — to nudna, szara galerja pospolitaków. Utalentowany, wyższej miary portrecista nie znajdzie tu dla twórczości swej materjału. Nadworni tej sfery portreciści rekrutują się z rzemieślników portretu urzędowego. Lecz o nich mówić nie warto. Jaki pan, taki kram.

Te same typy ludzkie powtarzają się w bogatych warstwach mieszczaństwa i ziemiaństwa. Całą obecną górę socjalistyczno-demokratyczno-mieszczańsko-ziemiańską możnaby sportretować w czterech lekkich odmianach jednej gęby reprezentacyjnej. Widocznie do władzy materjalnej i fizycznej doszedł dziś jeden, bez różnicy „przekonań“ typ gatunku ludzkiego — sprytny, obrotny, pospolity spekulant. Tu on spekuluje na idejach, tam — na pieniądzach, a wszędzie — na społecznej bezradności ludzi pracy i ducha. Tu i tam — próżny dorobkiewicz chciałby się portretować, ale go żaden prawdziwy artysta uwagą nie zaszczyci. Więc fotografuje się u takich, jak sam, dorobkiewiczów pendzla i dłuta.

Portret artystyczny powstaje wtedy jedynie, gdy do artysty przemówią i zachwycą go duchowe wartości osoby portretowanej. Dlatego artysta niezależny sam poszukuje ludzi, którzyby posiadali warunki, odpowiadające jego upodobaniom i zamierzeniom. Ale niezmiernie rzadko zdarza się artysta wolny od konieczności zarabiania swoją pracą pieniędzy. Gdy przeto sfera, kupująca portrety, składa się z ludzi pospolitych, artysta porzuca dział portretowy, albo go uprawia zrzadka przy szczęśliwym zbiegu okoliczności. To naraża na nędzę, zawody, marnowanie talentu. Ludzie, godni uwiecznienia w portrecie, nie mają na wynagrodzenie artysty, a darmo pozować nie zechcą. Powstaje błędne koło, jedno z wielu, które tratują ludzi najlepszych. „Giną szlachetni żyją niecierpiani“.

Te są przyczyny ogólne, które i w Polsce w ostatnich czasach wywołały zanik portretu artystycznego. Nietylko ludzi rasowych w odpowiedniej warstwie społecznej zabrakło, ale i atmosfery, otoczenia, obyczaju, ubiorów, symbolu i znaczenia. A może przytem zabrakło i portrecistów twórczych, rasowych, którzy przedsięwzięliby wędrówki tam, gdzie jeszcze można odnaleść postacie pełne charakteru i wyrazu. Wiele szkiców węglowych i ołówkowych, z różnych okolic Polski na wystawy stołeczne przywożonych, świadczy wymownie, że lud nasz wiejski, a w miastach — rzemieślniczy i robotniczy może portrecistom dostarczyć dużo najprzedniejszego materjału. Tatry, Bałtyk, ziemie krakowskie, sandomierskie, podlaskie, łowickie, pomorskie, wileńskie, zagłębie węglowe i środowiska fabryczne, drobnomieszczaństwo krakowskie i warszawskie — to bogate i nietknięte przez portret zbiorniki postaci i głów, otoczenia i ubiorów, dla artysty wymarzonych.

Prócz ludu istnieje w kraju warstwa ludzi pracujących umysłowo, obecnie tak zubożona i przygnębiona, że sama o portrecie swoim pomyśleć nawet nie śmie, ale, z uwagi na kulturę swoją, dla artysty przystępna. Tu również łatwo odnaleść znakomite głowy, wspaniałe postacie, głębokie tła duchowe, złożone i szlachetne charaktery, co razem zapala wyobraźnię artysty i umożliwia mu objawienie różnorodnych sił jego talentu. Nie byłoby rzeczą trudną przekonać wielu z tej warstwy o pewnego rodzaju obowiązku z ich strony dostarczenia artyście z siebie samych tworzywa do jego sztuki. Wtedy trud pozowania i czas przez modela stracony nie szedłby już na rachunek biednego portrecisty, ani nawzajem— praca artysty na rachunek ubogiego modela... Ale na to potrzeba urodzonych, natchnionych portrecistów, którzyby zwyczaj taki i tak podniosłą atmosferę artystyczną stworzyli.

Istnieje milczący przesąd, że człowiek w bluzie robotniczej, w guńce, serdaku, w sukmanie stanowi dobry temat do tak zwanego „studjum“, lub tak zwanej „głowy“, ale do portretu mu za wysoko. Co do mnie, to nie mogę sobie przypomnieć, czy widziałem kiedy na wystawach portret chłopa, górala, rybaka. O ile są, to zawsze pod nazwą „studjum“, „głowy“, albo wprost „górala, chłopa, rybaka“ stąd i zowąd, ale nigdy pod nazwą portretu. Gdyby nawet chodziło tylko o tytuł pod obrazem, to i w tytule objawia się tu znamienny stosunek artysty do ludu, wcale artyście zaszczytu nie przynoszący. Niejedno z tych studjów bywa typowym portretem, ale „nie wypada“, żeby artysta osoby z ludu portretował. Przesąd mniema, że pierwsze lepsze bydlę ze sfery bankier-

skiej godne jest portretu, ale piastowy gospodarz z Królowej Woli zasługuje zaledwie na studjum.

Prócz tak powierzchownego istnieje tu i głębszy przesąd w samem traktowaniu tematu. Portret z założenia swego tem od wszelkich studjów się różni, że obowiązuje do duchowego wniknięcia i syntetycznego ujęcia przedmiotu. Trzeba wszechstronnie poznać człowieka samego, oraz pracę jego, sferę, wartości, które na portret się składają. Przesąd mniema, że kantor wielkiego miasta jest czemś nieskończenie wyższem od zagrody, tużurek — czemś wymowniejszem od sukmany, gabinet — czemś bardziej duchowem od roli. Artyści tej epoki uwięzieni są w zamożnej sferze mieszczańskiej nawet wtedy, gdy od niej z pogardą się odwracają. Utleniony koczkodan w buduarowych poduszkach ma u nich portret zapewniony, rasowa dziewczyna wiejska — wobec tamtej księżniczka — zdałaby się przygodnie na „główkę“.

Prawdopodobnie brak teraz malarstwu polskiemu artystów portretu. Gdyby byli, jużby musiało nastąpić odkrycie tej Ameryki portretowej, którą w ludzie naszym posiadamy. Zarówno na szczerej wsi, jak w czadach fabrycznych oprócz szczególnie ciekawego i barwnego otoczenia — przyrody, wnętrz, ubiorów, narzędzi — żyją też typy ludzkie stokroć w wyrazie bogatsze i w charakterze głębsze od nudnej szarzyzny tak zwanych wyższych sfer mieszczaństwa współczesnego. Jeśli nadejdzie pokolenie artystów portretu, to pójdzie na wieś — w Tatry, nad morze, do kopalń i fabryk, a one dadzą im przedmiotowe dla ich sztuki oparcie, jakiego nie miały najbujniejsze malarstwa romańskich i germańskich Odrodzeń.

Nawet nie opuszczając rogatek Warszawy, naocznie przekonać się można, że pod względem typu rasowego w społeczeństwie naszem nastąpiło dziwaczne odwrócenie. Im bliżej środka stolicy i dzielnic, jak je magistrat zwie, „reprezentacyjnych“, tem pospolitszy i równiejszy staje się typ licznych przechodniów. Im bliżej ku krańcom miasta, tem gęściej trafiają się typy z artystycznego punktu widzenia doskonałe, swoiste, wyraziste, silne, arystokratyczne, wyjątkowe. W zakładach metalurgicznych, w hutach szklanych i tym podobnych wielkich pracowniach jakże często spotkać można ludzi godnych berła hetmańskiego — wyniosłych, o wspaniałym geście, o mądrych, mocnych oczach i doskonałej budowie. Jaka, również, rozmaitość i jakie, surowe jeszcze, ale bogate możliwości panują tu wśród kobiet! Cyklopowe kuźnie prób rzeźbiarskich na nowych, wyższych ludzi!

W opinji sfer „kulturalnych“ i artystycznych, jak dotychczas, znany jest jeden tylko w Polsce arystokratyczny typ ludu — góral tatrzański. Poznano go i uznano dzięki nagłemu odkryciu Tatr i pracom wielu poetów, malarzów i rzeźbiarzów. Stał się w świecie snobów modny. Ale do portretowego malarstwa polskiego nie wszedł w randze, która mu przystoi. Nawet większej miary artyści portretu czują się wobec niego obco, „studjowo“ i „głowowo“. Zapewne dużo jeszcze wody w Wiśle upłynie, zanim polska myśl artystyczna w zakresie sztuk plastycznych zdobędzie się na świadome uznanie arystokratycznych typów w innych okolicach kraju, oraz w innych, niż chłopska, warstwach naszego społeczeństwa. A tymczasem typy te mijają niewidziane, jakby nie istniały, zaś artyści portretu narzekają na zubożenie typu ludzkiego wogóle.

Typ nie zubożał, tylko przeniósł się do świata pracy fizycznej i duchowej, więc trzeba tam pójść za nim, żeby go odkryć, poznać, uwiecznić, przy sposobności własny talent wzbogacić i rozwinąć, a sztukę polską na nowe tory wprowadzić. Dużo było w światku artystów deklamacji o świecie pracy, ale do czynu nie doszło. Artystom zawrócono w głowie fałszywą teorją, że oni sztukę swoją mają nieść jako światło kultury, przed oczy ludu pracującego fizycznie — robotników i chłopów. Fałsz głupi i ordynarny, z życiem i logiką niezgodny! Jeżeli sztuka będzie tym warstwom potrzebna, to same ją stworzą, albo do niej, już istniejącej, przyjdą. Artysta nie może tworzyć dla nich, bo musiałby twórczość swoją naprzód obniżyć do stanu pierwotności. A zresztą, artysta nie ma prawa „dla“ nikogo tworzyć. Natomiast powinien wejść w te warstwy, jak myśliwy w puszczę, dla zwierzyny. Powinien uznać je za taki sam, jeśli nie za lepszy, teren dla swojej spostrzegawczości, wrażliwości i twórczości, za jaki uznaje buduarstwo, bankierstwo i aptekarstwo.

Pewien malarz japoński spędził dwadzieścia lat w lasach pośród małp, żeby je po malarsku poznać i portretować. Z pewnością trzeba dość czasu poświęcić, żeby zżyć się ze światem, w którego wnętrza chce się na swoiste typy portretowe polować. Zzewnątrz i dorywczo upolować można tylko „głowy“ i „studja“, ale i to wątpliwej wartości. Pełnię wyrazu, charakteru, głębi i prawdy, tak w portretach, jak w obrazach dramatyzowanych, można osiągnąć tylko pod warunkiem zespolenia się z danem otoczeniem, czego nie dokonają grzecznościowe wizyty, ani najmowanie modelów do własnej pracowni. Te obrazy ze „świata pracy“ (fizycznej), które widujemy co roku na wystawach malarskich, widziane przez artystę odzewnątrz i przygodnie, — to blaga i snobizm, a w najlepszym wypadku — łezka sentymentalna.

W dziedzinie sztuk plastycznych pionierem materjału twórczego, z warstw ludowych dobywanego, może być przedewszystkiem portret. Ten wielki, trudny, poważny dział malarstwa sam przez się zmusi artystów do zgłębienia „świata pracy“ (fizycznej), a wtedy świat ten przed oczami sztuki rozwinie się w takiej wizji żywej, w jakiej oczy Matejki oglądały polską przeszłość rycerską. Z takiego tylko zasiewu bywa plon na nowiznach.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA MARGINESIE

Redaktor urzędowej „Gazety Polskiej“ p. poseł Miedziński, zapytał premjera Piłsudskiego, jaki jest jego program jako szefa rządu. Na to ten odrzekł: Pan jest poseł, „a poseł jest na to, ażeby głupio pytał“ i głupio mówił. I nie czekając protestu, ani dalszych pytań, wyłożył swój pogląd na Konstytucję Rzplitej Polskiej, na którą trzy dni temu, przysięgał.

Już sama nazwa konstytucji jest głupia, niechlujnie ułożona. „Ja ją—mówi Piłsudski—nazywam konstytutą. Wymyśliłem to słowo, bo ono najbliższe jest do prostytuty“. Użytek, jaki z niej robią posłowie „czynić musi z Konstytucji zwyczajną dziewkę“. Obszernie motywując swą niechęć do Konstytucji, premjer wdał się w tak zawiłe rozróżnianie odpowiedzialności parlamentarnej i kontytucyjnej, że zrobił z tego bigos. „Niechlujna pisanina czyni z naszej Konstytucji coś w rodzaju kiepskiego bigosu. Jak Pan rozumie żołądki wtedy nie mogą nic zrobić i wychodzi z tego smród, tak, że ulica Wiejska cała śmierdzi—proszę Pana“.

Po tym wywodzie wątpliwości prawniczych, które zwykle ustępują z umysłów już na pierwszym kursie prawa, nawet w kl. 8-ej gimnazjum, pan premjer przeszedł do nauki przyzwoitości.

Tutaj powtarza to, co już parę razy po epizodzie otwarcia Sejmu 1928 ogłaszał w prasie, że Sejm jest „bandą“.

— „Powiem Panu słów parę o przyzwoitości — mówił premjer.—System panów posłów, nad czem ja dziesiątki razy się zastanawiałem, polega na jakiejś chęci pokazania, że on jest rozumniejszy od wszystkich“... A tymczasem „same głupstwa bredzi“. Słuchając ich — powiada — „bałem się wciąż, iż panowie ministrowie pojadą do Rygi, że rzygać będą po każdej rozmowie“. „Pan poseł zna to nikczemne zjawisko w Polsce“ — mówił do kłaniającego się w pas posła. — „Zdaniem mojem w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi; jeżeli zaś przytem coś im dołożą, to także nie szkodzi. Konstytucja mówi tylko o nietykalności sądowej, wszystko inne, Panie pośle, jest tykalne“. I tu opowiedział anegdotę, jak gdzieś poseł dostał po twarzy.

— „Panowie posłowie już zatracili wszelką przyzwoitość“. Posłowie nie przysięgają, jak premjer, tylko ślubują. W tem miejscu subtelna gra słów, raczej liter: pan premjer wymawia ten wyraz: „ś l a b u j ą“, co w gwarze gminnej na Litwie podobno oznacza zanieczyszczanie ubrania wskutek słabości żołądka. Tutaj znowu wraca do wrażeń z Sejmu z r. 1928: „pamiętam, siedziałem w ławach rządowych“ —

„nie mogłem, wyznam Panu, wytrzymać ze śmiechu, gdy oczekiwałem, kiedy ten lew zaśmierdzi ze strachu. Tak się też i stało... Taki pan z rozpiętemi spodniami... Takie brudne ślabowane portki, od których państwo ma zależeć! To jest rzecz niemożliwa do zniesienia“.

— „Czy Pan wie, nad czem ja najczęściej się zastanawiam?“ — Tutaj napięcie ciekawości dochodzi do zenitu, bo nareszcie dowiemy się, co teraz rząd będzie robił, aby zapobiec grożącym Polsce niebezpieczeństwom.—„Toż proszę Pana można zebrać łotrów, bo jest ich dużo w sejmie, jakąś setkę i mówić, żo to sejm. I od takich łotrów ma państwo zależeć?“ „Moje przekonanie, wyciągnięte z kilku lat stałej i ustawicznej myśli, jest jasne i nieodwołalne: panom posłom trzeba pieniędzy“. „Dla tego też na pytanie pana, co jest największą moją troską — twierdzę, że największą moją troską jest odparcie ataku na pieniądze skarbowe, na wydawanie ich na wychodki partyjne“...

— „Muszę Panu powiedzieć — kończył p. premjer — że zatracenie zupełne przyzwoitości jest charakterystyką nowych czasów“.

Tyle dowiedzieliśmy się o programie rządu: o czem będzie stale i ustawicznie myślał, co będzie jego największą troską.

*

Świat, wstrząśnięty przesileniem w rządzie, doczekał się komunikatu urzędowego, wyjaśniającego stanowisko p. Piłsudskiego wobec decyzji p. Sławka. „Najbardziej mi się podoba to, że nie chce on być *Mädchen für alles*. Sam taką *Mädchen für alles* być nie mogę i dla tego poszukam systemu pracy“...

Komunikat ten stał się przedmiotem najrozmaitszych interpretacji. Przedewszystkiem ludzie się pytają: dla czego po niemiecku? A potem: dla czego dziewczyna? Wreszcie: jakie były inne rzeczy, które się podobały i dlaczego to „najbardziej“ się podobało, że p. Sławek nie czuł się na siłach być premjerem? Rola naczelnego kierownika państwa, owszem, jest bardzo męska, bo wszechstronna, aktywna i twórcza. Wielu mężom stanu zapewniła w historji sławę i wdzięczną pamięć. A dyktatura? To przecież jeszcze większa *„für alles“*.

*

W ciągu sierpnia roku bieżącego dzienniki—w rubryce p. t. „Przed dziesięciu laty“ — publikowały biuletyny wojenne, przypominające sytuację na froncie walk polsko-bolszewickich w r. 1920, a dostarczane codziennie przez Wojskowe Biuro Historyczne. Biuletyny te w zasadzie odpowiadały treścią codziennym komunikatom wojennym Sztabu Generalnego, ogłaszanym przed laty dziesięciu, niekiedy jednakże można było zauważyć między niemi znamienne bardzo różnice. Tak np. opis zdobycia Białegostoku, w rozesłanym dn. 22 sierpnia r. 1930 biuletynie Wojskowego Biura Historycznego, brzmiał, jak następuje: „I-a dywizja legjonów zdobywa Białystok w godzinach rannych. Zajęcie tego miasta staje się początkiem ciężkiej bitwy z oddziałami 16-ej armji sowieckiej, pragnącej sobie utorować za wszelką cenę drogę na wschód. Po 20-godzinnych walkach ulicznych, wśród których poległ jeden z najtęższych oficerów 1-go pułku legjonów, kapitan Marjański, została 16-ta armja sowiecka zupełnie rozgromiona, tracąc przeszło 7000 jeńców, 1 samolot, 32 działa, 124 karabinów maszynowych, trzy pociągi z materjałem wojennym i masę taboru“.

Te same zdarzenia w komunikacie wojennym Sztabu Generalnego z r. 1920, opisane były w słowach następujących: „Po zajęciu przez I-ą dywizję Legjonów w dniu 22 b. m. rano Białystoku, trwały w samem mieście przez 20 godzin zaciekłe walki z przybyłą na pomoc z Grodna 55-ą dywizją sowiecką i miejscową ludnością żydowską, która wydatnie zasilała szeregi bolszewickie. W walkach w rejonie Białystoku wzięła I-sza dywiza Legjonów przeszło 7000 jeńców i t. d.“

Łatwo domyśleć się, wniknąwszy w treść dokonanych „skrótów“, komu właśnie była potrzebna „sanacja“ Wojskowego Biura Historycznego i kto na niej skorzystał...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.